Szwajcer Jankiel Filut

JANKIEL FILUT.

Opowiadanie żydowskiego żaka (buchera).

NAPISAŁ

B. SZWAJCER.

ŁÓDŹ.
W drukarni „Dziennika Łódzkiego".

1887.

JANKIEL FILUT.

JANKIEL FILUT.

Opowiadanie żydowskiego żaka (buchera).

NAPISAŁ

B. SZWAJCER.

ŁÓDŹ.
W drukarni „Dziennika Łódzkiego".

1887.

Дозволено цензурою,
Варшава 22 Мая 1887 года.

I.

Niedaleko od Warszawy, na prawym brzegu Wisły, leży miasteczko Chodzerów.

Sądzicie może, że to taka mieścina, jak Piaseczno lub Głowaczew, które wstyd, doprawdy, miasteczkami nazwać! Gdzie tam! Chodzerów, powiadam wam, jest sobie miasteczkiem co się zowie, kehila (gmina) rzeczy można. Znajdziesz tam wszystko, czego tylko dusza zapragnie: cudowną bóżniczkę, budowaną w starodawnym stylu, z pięknym ołtarzem, ozdobionym pozłacanemi lwami, czarnemi orłami, winogronami, oraz różną rzeźbą, że aż dusza się raduje, gdy się patrzy na nią. Wprawdzie miejscowy burmistrz zabrania tam się modlić, mówiąc, że niebezpiecznie, bo ściany trochę są pochyłe i przed sześciu laty Hinda rzeźniczka i Ruchla akuszerka, spadły z galeryi podczas modlitwy. Lecz któżby zważał na słowa goja? Czyż wierzy on, że świątynia runąć nie może? Faktor kabalny tłómaczył mu nawet dokładnie, że to żadną miarą stać się nie może, że w świętem miejscu nic złego się nie przytrafi. Dowodem to, że Hinda rzeźniczka tylko jednę złamała nogę, a Ruchla akuszerka ani nogi, lecz rękę. Burmistrz obstaje wszakże przy swojem i utrzymuje, że tam jest niebezpiecznie. Jednakże nasze żydki sobie radzą.

Oprócz tego, jest tam bet-hamidrasz (szkoła) — istny cud. Zimową porą, naprzykład, podczas silnych mrozów,

gromadzą się tam dozorcy gminy, prezesi towarzystw dobroczynnych, gospodarze bożniczni i inne zacne osoby. Wszyscy siadają wkoło wielkiego rozpalonego pieca i wiodą żywe dysputy o tem i owem; potrosze o polityce: jak Napoleon I przeszedł z wojskiem przez rzekę Sambation w sobotę, gdyż żydowski generał wydał mu tajemnicę, iż rzeka ta, rzucająca cały tydzień kamieniami, odpoczywa w sobotę, — potrosze o historyi: jak książę Paszkiewicz znalazł arkę Noego na górze Ararat i zbudował z tego drzewa okręt na morzu Czarnem, który nigdy zatonąć nie może; jak Napoleon I radził się magida z Kozienic, nim poszedł na wojnę z Rosyą — i o t. p. faktach, o których w historyi powszechnej niema najmniejszej wzmianki.

Nie mówię już o mykwie i łaźni w Chodzerowie, — to cud cudów. Faktor kahalny klnie się na życie żony i dzieci, że takiej pary, jak w łaźni chodzerowskiej, ani odrobiny w całej Warszawie nie dostanie.

— Gdy po denuncyacyi — opowiadał on — czego nie daj Boże więcej, byłem w Warszawie, w interesach kahału, udałem się do najlepszej łaźni, gdzie wejście, wystawcie sobie, kosztuje aż 20 groszy i naumyślnie zaprzyjaźniłem się z kąpielowym, abym tylko dostał trochę dobrej pary. Kąpielowy rzeczywiście umyślnie dla mnie lał wodę, ile się zmieściło na rozpalone kamienie, a jednak takiej pary jak w chodzerowskiej łaźni — nie wydobył...

Wszystko jest w Chodzerowie, czego w dobrej gminie potrzeba: towarzystwo pogrzebowe, towarzystwo pielęgnowania chorych, towarzystwo wydające za mąż biedne dziewczęta, dozorcy bóżniczni, posługacz bóżniczny, faktor kahalny, kąpielowy, grabarz i t. d., i t. d. Słowem, Chodzerów jest miasteczkiem, które i wobec największych gmin, rumienićby się nie potrzebowało. A nadewszystko jest tam słynny rabin, kierujący wielkiem seminaryum z trzydziestu uczniami, których obywatele z przyjemnością utrzymują.

II.

Pewnego poranku, w maju 186... roku, ujrzałem na rynku chodzerowskim chłopca, mającego około lat piętnastu, z tłomoczkiem na plecach, co świadczyło, że dopiero co przybył z drogi. Miał na sobie czarną dymkową kapotkę, wykrzywione buty i starą podartą czapeczkę. Uderzający kontrast z tem ubraniem stanowiła jego piękna twarzyczka. Czarne oczy, błyszczące z pod wysokiego i równego czoła, jak dwie duże gwiazdy, — nadzwyczaj prawidłowy, jakby dłutem wielkiego artysty-rzeźbiarza toczony nosek, — maleńkie usteczka, purpurowe, jakby korale najpiękniejsze, z morskiego dna wydobyte, — małe jego ząbki, bielutkie jak kość słoniowa, — czarne loki, spadające na skronie i zwijające się wężykowato na pulchnych różowych policzkach, jego okrąglutki podbródek, jego... Co tu długo opowiadać! Jestem, jak wam wiadomo, zwyczajnym żakiem, do akademii sztuk pięknych nie uczęszczałem, a zatem niewielki ze mnie mistrz w opisach; powiadam wam, jednem słowem, — była to piękność, w całem znaczeniu tego wyrazu.

Tego samego dnia właśnie był jarmark, — a muszę wam powiedzieć, że jarmark w Chodzerowie, to rzecz nielada. Wszyscy mieszkańcy wtedy na nogach; każdy zajęty, każdy się krząta. Jak mrówki w skwarny dzień lipcowy, wszyscy od samego rana opuszczają swoje nory, udając się na rynek, aby zaopatrzyć się w żywność do następnego jarmarku. Gospodarz śpieszy tam obrabiać swoje interesy z drobną szlachtą, wiecznie potrzebującą pieniędzy i przyjeżdżającą do miasta na jarmark, aby sprzedać zboże z przyszłego żniwa; gospodyni — aby kupić gąskę na sobotę, kurczę dla chorego dziecka, mendel jaj, miotłę, ćwiartkę kartofli i t. d. Czyż to mało w gospodarstwie potrzeba? A takie interesy nie załatwiają się przecież w jednej chwili, bo gdyby dać

wieśniaczce za gęś lub kurę, co zaceni, to dobrzeby człowiek wyglądał...

Chcąc kupić tłustą gąskę, a tanio, nasze chodzerowskie gosposie w przededniu jarmarku zawierają między sobą sojusz. Na drugi dzień, skoro świt, kilka z nich, w charakterze forpoczty, udaje się na rynek, każda w inną stronę, a gdy która z nich zauważy wóz z gęsiami, wiezionemi na sprzedaż przez babę lub przez młodego, niedoświadczonego parobka, wówczas forpoczta daje umówiony sygnał. Wnet wszystkie członkinie sojuszu atakują biedne gąski; każda chwyta gąskę, obmaca ją, a gdy natrafi na tłustą, wykrzykuje słowo „tow" (dobra). Na ten znak jedna z kobiet chwyta gąskę za jedno skrzydło, druga za drugie, a każda rwie ku sobie. Gąski z bólu żałośnie gęgają, kobiety wymyślają sobie wzajemnie, zrywają sobie czepki z głowy, robi się hałas, krzyk, a wieśniaczka, stojąc na wozie i obawiając się, aby żywcem nie rozerwano gąski, bierze w końcu, ile za nią dają. Sojusznice godzą się wnet i gęś kupują do spółki, poczem unosząc ją w górę, jak zwycięskie swoje trofea, dumnie wracają do domu i dzielą zdobycz między sobą.

Biedne nasze chłopię stało na rynku i przyglądało się, jak Ruchla i Sura spierały się o gąskę, a tymczasem żołądek mu z głodu grzechotał. Nie miał on nic jeszcze w ustach, gdyż cały jego zasób składał się mniej więcej z pięciu groszy. Nie martwił się jednak, gdyż Jankiel (tak się zwało chłopię), nie lubił się martwić; czy był głodny, czy syty, zawsze był wesół.

— Gdyby ta gąska była moja — pomyślał sobie — wiedziałbym, co z nią uczynić...

Stojąc tak i dumając o pieczonej gąsce, usłyszał nagle gruby głos męski, a obróciwszy się, ujrzał tuż za sobą człowieka o kulach, z długą roztrzepaną brodą, w starym wytartym kołpaku.

Był to kulawy Natan.

Gdybyście, mili słuchacze, znali Chodzerów, nie potrzebowałbym opowiadać wam, co to był za jeden ów kulawy Natan, gdyż on znany był wszystkim mieszkańcom, od największego do najmniejszego. Ponieważ jednak przypuszczam, że Chodzerowa nie znacie, a może nawet nie byliście tam nigdy, przeto muszę was bliżej z Natanem poznajomić.

Dwadzieścia lat temu wstecz, kulawy Natan miał lat dwadzieścia pięć i jeszcze nie kulał, — możecie się zatem domyśleć, że nie nazywano go wówczas „kulawym” Natanem; zwano go wtedy po prostu: Natan, mąż Chany-Bejli. Małżonkowie ci mieli się wówczas bardzo dobrze, każde z nich bowiem trudniło się kilkoma procederami. Chana-Bejla trudniła się po trosze akuszerstwem i była wzywana do zamożnych domów, — prócz tego, była opiekunką towarzystwa pogrzebowego, miała też jakiś urząd w kąpieli, który jej dawał bezpłatne mieszkanie w domu kąpielowym. Natana główną specyalnością było swatostwo; prócz tego, odczytywał czasami modlitwę u zmarłych, odmawiał modlitwę (kadysz) za duszę umarłego, w dzień rocznicy śmierci, otrzymał też czasem kilka groszy odjezdnego, od przybyłego na jarmark kupca, a te poboczne interesy przynosiły mu rocznie spory dochodzik. Nadto utrzymywał Natan potajemnie szynk w bóżnicy, z którego mógł się był zbogacić, gdyby przy każdym sprzedanym kieliszku drugiego sam nie wychylił, nie dlatego, żeby lubił łyknąć, uchowaj Boże! lecz po prostu dlatego, że czuł się obowiązanym wypić za zdrowie przyjaciela, a przyjacielem jego był każdy przychodzący do bóżnicy.

Prowadząc tak rozległe interesy, nic dziwnego, że Natan i Chana-Bejla mieli przyzwoite utrzymanie, zebrali nawet ze 400 złotych gotówką. Lecz, niestety, z bogactwem przybywa kłopotów, jak napisano w księdze ojców (Abos). Dopóki nasi małżonkowie nie mieli zebranego grosza, dopóty żyli w zgodzie. On pilnował swoich interesów, a ona

swoich, — lecz od chwili, gdy się dorobili trochę grosza, zaczęli się kłopotać, co począć z pieniędzmi ... Natan chciał oddać w pewne ręce na procent, a Chana-Bejla opierała się temu. „W teraźniejszych czasach — mówiła — nikomu wierzyć nie można; lepiej kupić chałupkę, aby mieć swój własny kąt.” Tym sposobem zaczęły się kłótnie pomiędzy mężem a żoną. Ze zmartwienia, Natan wychylił pewnego wieczora kieliszek zanadto i zamiast wejść do swego mieszkania z prawej strony, wszedł z lewej, wpadł tedy prosto do basenu kąpielowego i złamał, niestety, obie nogi. Tak więc, nieszczęsny spór: co począć z pieniędzmi — rozstrzygnięty został sam przez się, gdyż Chana-Bejla nie szczędziła ich bynajmniej, gdy szło o uratowanie męża. Wezwała lekarzy, bab sporo, owczarzy i wkrótce majątek był zrujnowany do szczętu, tak, że zaledwie zostało na kule, a z Natana, męża Chany-Bejli, stał się Natan kulawy.

Odtąd Natan zaniechał prawie wszystkich interesów i stał się pobożnym. Przesiaduje nieustannie w bet-hamidrasz, odmawia psalmy, czyta talmud, — zdarza się zrobić to dla chorego, to dobrze, gdy zaś nie, czyni to dla Boga. Stara się dla żaków o utrzymanie w dnie powszednie i soboty, słowem, poświęca się wykonywaniu religijnych przepisów i dobrym uczynkom. Tylko podczas jarmarku spaceruje o kulach po rynku, aby zobaczyć się ze starymi znajomymi, a jednocześnie zebrać kilka kopiejek na cel dobroczynny.

— Szolem alekem! chłopcze, skąd jesteś? — zapytał kulawy Jankla swym grubym a jednocześnie szczerym i dobroczynnym głosem — zapewne przybyłeś do naszego rabina uczyć się? co? Doskonały żaczek, benemunes, doskonały — powtórzył ze szczególnem zadowoleniem, klepiąc Jankla po plecach. — Dlaczego nie odpowiadasz? Czy dla nauki przybyłeś?

— Uczyć się, to swoją drogą — odrzekł Jankiel — z tem już sobie poradzę ... Lecz teraz myślę tylko o tem, gdzieby głód zaspokoić; głodny jestem jak wilk.

— Doskonale powiedziano, benemunes, doskonale — rzekł kulawy. — Bez chleba niema nauki, napisano, zdaje mi się, w psalmach... W psalmach przecież, nieprawdaż?

— Nie — odpowiedział Jankiel — to powiedziano w księdze Ojców.

— Wszystko jedno — odparł Natan — w księdze Ojców, czy w psalmach... to pisał król Salomon i to pisał król Salomon. Uważaj, chłopcze, co ci powiem; podobasz mi się, benemunes. Jesteś w moim guście, a żak, który podoba się kulawemu Natanowi, nie potrzebuje się o nic kłopotać, wierzaj mi, benemunes. Gdybyś tu przybył przed dwudziestu laty, kiedy jeszcze byłem zamożnym, to jadłbyś u mnie jeden dzień w tygodniu, a może nawet i dwa. Dziś, niestety, nie jestem już zamożnym, a przytem kaleka.... Ale, mimo to, nie frasuj się. Jestem, chwała Bogu, człowiekiem poważanym w mieście, nawet bardzo poważanym, rzec można. Nie mówię już o mojej żonie, zapewne o niej słyszałeś? Któż-bo nie zna Chany-Bejli, żony kulawego Natana? Jest ona we wszystkich prawie zamożnych domach — nie wścibską, jak naprzykład Ruchla, akuszerką — lecz rzeczywiście poważaną. Co prawda, złośnicą jest i mnie dosyć dokucza, lecz żaków lubiła, a gdy wspólnie, to jest ja z żoną, weźmiemy się do rzeczy, to będziesz miał co jeść, nie przez sześć dni w tygodniu, lecz przez dwadzieścia, benemunes! Stancyę będziesz miał u mnie; siennik i poduszkę mam jeszcze, chwała Bogu. Przedewszystkiem pójdźmy; śniadanie znajdzie się jeszcze u mnie. Hola! marsz!

I z wielkiej radości wystawiwszy obie kule naprzód, poskoczył odrazu na trzy łokcie przed siebie.

III.

Tego samego dnia jeszcze, po śniadaniu, udał się Jankiel do bet-hamidrasz, ma się rozumieć, w towarzystwie kulawego Natana. Żacy siedzieli już wszyscy za długim stołem, oczekując rabina i rozpoczęcia wykładu, a przed nimi leżały otwarte foliały talmudu. Gdy jednak ujrzeli nowego towarzysza, wyskoczyli wszyscy z za stołu, podając mu ręce i witając go szolem-alekem.

— Wkupnego — odezwało się odrazu trzydziestu żaków — wkupnego niech da.

— Cicho, chłopcy — krzyknął kulawy, uderzając kulą o stół — cicho bądźcie! ja dam wkupne za żaczka, benemunes.

— Patrzcie, kulawego dobrodzieja! — zawołał Chaim, syn Rabi Godela, długi żak, z dużemi przedniemi zębami — on da! także mi hojny... Nie wierzcie mu, zabierzcie czapkę przybyłemu żakowi, czapkę!

Już kilka rąk sięgało ku głowie Jankla, ale tuż Natan okazał całą swoją odwagę i zręczność. Jednym skokiem siedział na stole, podniósł obie kule i machał niemi w powietrzu tak zręcznie, że każda ręka, która się dotknęła czapki Jankla, otrzymała silne uderzenie. Powstał krzyk, hałas i kto wie jak długoby to trwało, gdyby nie nadszedł rabin. Był to człowieczek szczupły, wycieńczony, lat sześćdziesięciu, z siwą bródką i cienkiemi pejsikami. Przestąpiwszy próg, bethamed-rasza zląkł się, usłyszawszy krzyk straszliwy.

— Co to się stało? — zapytał przestraszony.

— Czy nie znacie przysłowia, rabi: „gdy kot wyjdzie, myszy na stole" — odrzekł kulawy. — Oto przybył do was, rabi, biedny żaczek uczyć się; wszyscy żacy uwzięli się,

aby zapłacił wkupne, a dowódcą ich jest długi Chaim. Czy godzi się to tak, rabi, co? Mały ten nieboraczek pieszo przywędrował uczyć się świętej tory, nie mając szeląga przy duszy, a ten Chaim, taki nieuk, domaga się od niego wkupnego. Co on sobie myśli? na czem się zasadza ta jego zuchwałość? czy na tem, że jest synem rabina? Ojciec może być bogobojny, a syn jednak niegodziwy. Słowo daję, rabi, jestem też znawcą i mówię wam, że co ten mały ma w nodze, tego długi Chaim nie ma w głowie.

Żacy wybuchnęli głośnym śmiechem, sam nawet rabin uśmiechnął się, usłyszawszy naiwne słowa Natana.

— No, zobaczymy — rzekł — ja też jestem kawałkiem znawcy.

Nowy śmiech żaków towarzyszył tej odpowiedzi; Chaim tylko jeden milczał zawzięcie. Długiemi zębami gryzł ze złości dolną wargę i znać było, że knuł zemstę przeciwko młodemu Janklowi i jego obrońcy.

Jankiel stał przez cały czas spokojnie i przysłuchiwał się wszystkiemu obojętnie, a znawca mógł poznać, że w duchu śmiał się z nich wszystkich: z kulawego, z żaków, a nawet z rabina.

Rabin zajął swoje miejsce, przywołał Jankla i powitawszy go szolam alekem, zapytał, skąd pochodzi, gdzie się pierwej uczył; wreszcie zaczął go egzaminować z talmudu. Pierwsze pytanie rozwiązał Jankiel trafnie, drugie taksamo, słowem, rabin zadawał coraz trudniejsze pytania, jedno po drugiem, a Jankiel odpowiadał na każde bez namysłu. Ba! nareszcie Jankiel zadał rabinowi pytanie, a rabin nie potrafił odpowiedzieć. Rozumie się, że innego rabina bardzoby to gniewało, albowiem rabini są po większej części zarozumiali, — a biada temu, kto w jakibądź sposób ubliży ich rzekomej mądrości. Lecz chodzerowski rabin był w istocie bogobojnym i uczciwym człowiekiem. Nie znalazłszy odpowiedzi na pytanie Jankla, nie żenował się tem bynajmniej; przyznał otwarcie, że nie wie i prosił Jankla, aby

sam pytanie rozwiązał. I mały żaczek rzeczywiście bardzo trafnie odpowiedział; co rabina tak uradowało, że wstał z krzesła, położył ręce na głowie Jankla i wyrzekł dobitnie:

— Jestem pewien, moje dziecko, że staniesz się kiedyś gaonem (geniuszem). Chwała Bogu, że natchnął cię myślą przybycia do mnie, abym miał z ciebie pociechę na starość.

Kulawy Natan zaczął z radości tańczyć na kulach.

— A co rabi, czy nie jestem znawcą?

Tym razem nikt się już nie śmiał. Żacy zdziwieni, patrzyli po sobie; Chaim wytrzeszczył oczy na Jankla, a rabin zamyślił się czegoś tak głęboko, że nawet podobno nie słyszał słów Natana.

Rozpoczął się wykład, podczas którego Jankiel znalazł sposobność do wykazania ogromnych zdolności. Był to istotnie cudowny chłopak; najtrudniejsze ustępy, nad któremi rabin z uczniami mozolili się po kilka tygodni, objaśniał z łatwością, a gdy po kilku godzinach wykład się skończył, rabin rzekł do Jankla:

— Chodź, moje dziecko, do mnie na obiad; od dziś będziesz jadał u mnie we czwartki.

Żacy rozeszli się do domów. Chaim tylko pozostał na miejscu jak wryty, a gdy Jankiel wyszedł z rabinem, pogroził za nimi pięścią.

— Poczekajcie! — wyrzekł gniewnie — dam ja wam! temu obcemu psu, wraz z tą starą kozią bródką!

Kulawy Natan, naturalnie, nie próżnował. W godzinę obszedł całe miasteczko i wszystkim opowiadał, jakim to on jest znawcą, a pod wieczór wszędzie już wiedziano, że do miasteczka przybył „iluj Jankiel.”

IV.

Chociaż Chodzerów jest tak wielką gminą, niema tam więcej nad jednę kamienicę dwupiętrową. Stoi ona w pośrodku rynku i odznacza się pomiędzy innemi małemi domkami, jak olbrzym pomiędzy karłami.

W kamienicy tej mieszka najzamożniejszy obywatel miasteczka, Chuna Dancigier.

Myślicie może, że Chuna pochodził z Gdańska? uchowaj Boże! Chuna urodził się w Chodzerowie, a nawet jego dziad i pradziad tam mieszkali. Ponieważ jednak ojca jego prowadzącego handel z Gdańskiem, nazwano Dancigierem, przeto i Chuna pozostał przy tem nazwisku.

Przed dwudziestu laty Chuna był 18-letnim, bardzo przystojnym młodzieńcem. Znał trochę talmudu, umiał też czytać i pisać, a ponieważ ojciec chciał wykierować go na kupca, zabierał go więc ze sobą do Gdańska, aby młody Chuna poznał interes i świat. Komisyoner w Gdańsku, u którego zwykle mieli kwaterę, był bogobojnym człowiekiem, a miał bardzo ładną i wykształconą córkę, „frajlajn Maryę.” Otóż zdarzyło się, że gdy pewnego razu ojciec z synem bawili w Gdańsku kilka tygodni, młodzi poznali się, pokochali, no — i wreszcie się pobrali. W ten sposób Chuna powrócił z młodą żoną do Chodzerowa.

Z początku zapanowało w miasteczku wielkie wzburzenie.

— To nie bagatela — słychać było zewsząd — niemka przybyła i co nie daj Boże, wszystkie nasze dziewczęta i młode mężatki zniemczy.

Niebawem przekonano się jednak, że niema wielkiego niebezpieczeństwa: Marya zapomniała wkrótce niemieckiej mowy i mówiła po żydowsku, jak inne chodzerowskie kobie-

ty, przytem okazała się pobożną i miłosierną, biednym dawała pieniądze i strawę, w poniedziałki i czwartki chodziła do bóżnicy; już nie nazywała się Maryą, lecz poprostu Miriam Dancigierowa; wkrótce też stała się najbardziej poważaną osobą w miasteczku.

Ponieważ Chuna bardzo kochał żonę i nie chciało mu się często do Gdańska jeździć, zarzucił więc dawne interesy, a natomiast założył handel win. Wiodło mu się bardzo dobrze, Miriam umiała bowiem delikatnie obchodzić się z gośćmi, znała ich nawyknienia i umiała im dogadzać.

Jednej tylko rzeczy brakowało temu małżeństwu do szczęścia — dzieci. Pięć lat już minęło od ślubu, a dziecka nie było. Małżonkowie, a szczególniej Miriam, bardzo się tem martwili, radzili się doktorów, używali środków zalecanych przez rabi Godela, — nic jednak nie pomagało.

Nareszcie, gdy Miriam, przez dwa lata bez przerwy, co piątek wieczorem piła z kidusz (sobotnia modlitwa nad winem) rabi Godela i dwa razy była u wód, Pan Bóg dopomógł i powiła córkę.

Wielką była radość małżonków; wyprawili ucztę dla całego miasteczka, przyczem ofiarowali hojne datki biednym Wprawdzie reb Chuna byłby wolał mieć syna, jednakże na początek umiał pocieszyć się córką. „Skoro jest już dziewczynka, mawiał do siebie, dlaczegoż nie miałby po niej nastąpić chłopczyk?...”

Płonną jednak była ta nadzieja. Chłopczyka jak nie było, tak nie było, a dziewczynka Małka pozostała jedynem dzieckiem reb Chuny. Nic też dziwnego, że dziecko to wychowywali jakby księżniczkę. Była ona nietylko jedynaczką, ale nadto jedynaczką bardzo ładną, rozumną i skromną. Uczono ją czytać i pisać kilkoma językami, szyć, haftować, tańczyć — słowem — wszystkiego, co dobrze wychowana panienka umieć powinna. Jakkolwiek reb Chuna był pobożnym, a Miriam, od czasu przyjścia na świat córki stała się wierną chasydką rabi Godela i co piątek cho-

dziła do niego po błogosławieństwo, chcieli oni jednak, aby jedyna ich córka nie była prostaczką jak inne chodzerowskie dziewczęta. Czytać i pisać innym językiem prócz żydowskiego, uważano wprawdzie w Chodzerowie za wielki grzech, nawet u mężczyzn — a cóż dopiero u kobiety — mimo to o Małce reb Chuny nie śmiał nikt złego słowa powiedzieć. Była piękną i dobrą w oczach Boga i ludzi.

Tego samego dnia, w którym Jankiel zawitał do Chodzerowa, Chana-Bejla odwiedziła Dancigierów.

— Czy nie mówiłam, kochana Miriam, że Pan Bóg mnie jeszcze pocieszy — odezwała się Chana-Bejla, przestępując próg mieszkania Dancigierowej, — czy nie mówiłam?... Nie dał mi własnego dziecka, to przynajmniej zesłał mi obce. Ale co za dziecko, moja Miriam! Odkąd żyję, odkąd oczy moje otwarte, podobnego jeszcze nie widziałam. Co tu długo mówić, to graf, to książę! twarzyczka jak słońce, a głowa!...

— Co? kto? jakie dziecko?

— Jakto, jakie? Czyż o niczem nie wiecie? Boże miłosierny! toć to całe miasto o niem mówi, a wy o niczem nie wiecie?

— O kimże to całe miasto tak mówi? powiedzcie wreszcie.

— Jakto? mój kulawy tu nie był, nie opowiadał wam o Janklu? — zapytała Chana-Bajla.

— O jakim Janklu? Wasz Natan wpadł dziś zasapany i mówił, że jest znawcą, ale jakim znawcą i czego znawcą, dotychczas nie wiem.

— Boże miłosierny! — wykrzyknęła Chana-Bajla — nie opowiadał o nowym żaczku, o spotkaniu jego z rabinem? A bodajże nogi połamał ten kulas!... Boże miłosierny!

— Boże miłosierny i znów Boże miłosierny! — zawołała zniecierpliwiona Dancigierowa. — Mówcież nareszcie o co chodzi?

— Posłuchajcie Miriam — rzecze Chana-Bajla nieco uspokojona. — Mój kulawy, bodajby nogi połamał, poszedł dzisiaj na jarmark i spostrzegł na rynku obcego chłopca z tłomoczkiem na plecach, zgłodniałego i niewiedzącego gdzie się podziać. Dobry mój kulas, bodaj mu Bóg miłosierny za to wynagrodził, zlitował się nad chłopcem i sprowadził go do domu na śniadanie. Patrzę na chłopca, Boże miłosierny! jak wam to opisać, kochana Miriam... Twarzyczka jego jaśniała, jak słońce lipcowe... Słyszę, że nieborak głodny, biegnę natychmiast do sąsiadki, chwytam kilka jaj i gotuję, kupuję kawałek masła, kawałek sera, robię naprędce dobry barszczyk z kartoflami i podaję mu. Biedne dziecko posiliło się. On jadł, a ja siedziałam i wpatrywałam się w niego, a serce rosło mi z radości. Miriam, gdybyście słyszeli jego modlitwę, gdybyście widzieli jego sposób jedzenia! Jakiś niewysłowiony wdzięk jest we wszystkiem, co on czyni. Ale, ale, cóż to ja chciałam powiedzieć? Aha! Gdy zjadł, poszedł z moim kulawym do rabina, do bet-hamidrasz. Rabin zaczyna go egzaminować, sądząc, że ma przed sobą zwyczajnego żaczka. A wiecie wy, Miriam, jaki był koniec? Rabin wyglądał wobec Jankla, abym nie zgrzeszyła mową, — jak pomiotło. Gdy Jankiel zadał mu pytanie, rabin stał, abym nie zgrzeszyła mową, Boże miłosierny! — jak bałwan.

— Bóg z wami! — krzyknęła Miriam — co pleciecie, Chana-Bajla, czyście zwaryowali?

— Oby mnie Pan Bóg nie skarał za te słowa... Nie gniewajcie się, kochana Miriam, jest się przecież tylko człowiekiem, można zgrzeszyć słowem, przez zapomnienie, ale co prawda to prawda, kłamstwa tu nie mówiłam. Możecie zapytać Chaima, syna rabi Godela; on też był obecnym. Dobranoc Miriam!

Chana była już na progu, wróciła jednak i rzekła poważniej:

— Ale! o najważniejszem zapomniałam... Kiedyż będą zaręczyny Małki? Chaim już dorosły młodzieniec... Rabi Godel byłby go już dawno ożenił, gdyby nie to, że koniecznie chce waszą Małkę za synowę. A wasza Małka, niech jej Bóg da zdrowie, także przecież dorosła panna i podług mego rachunku ma już około piętnastu lat. Co? czy pamiętacie Miriam, jak byłyśmy wtedy akurat razem w mykwie i ułożyłyśmy sobie: jak Bog nam dopomoże, że ja będę miała chłopca, a wy dziewczynę, lub odwrotnie, to ich pożenimy. Wam Pan Bóg rzeczywiście dopomógł, a ja, oj Boże miłosierny! zostałam, niestety, nieszczęśliwą jak byłam. Gdyby Jankiel był mój, trzymałabym was z pewnością za słowo... Stosowniejszym byłby on, zdaje mi się, dla Małki, niż Chaim Godela... Ale cóż robić! Pan Bóg zapewne wie, co czyni. Pan Bóg kojarzy małżeństwa, mówi przysłowie. No! bywajcie zdrowi, Miriam... Ale! ale! o najważniejszem zapomniałam... Czy wiecie, po co ja przybyłam? Chciałam was prosić, Miriam, aby mój Jankiel jadał u was w soboty. Bóg świadkiem, że gdybym była zamożną jak dawniej, dałabym mu całkowite utrzymanie u siebie, jak życia pragnę. Cóż jednak robić? Widać, że takie było moje przeznaczenie... oj!

— Jeżeli o to wam chodzi — odrzekła Miriam — niech Jankiel jada u mnie w soboty. Chwała Bogu, tyle się gotuje, że starczy jeszcze dla jednego.

— Dziękuję wam tymczasem. Muszę wracać do domu, przygotować memu chłopcu posłanie; zapewne nieborak zmęczony. Dobranoc Miriam!

— Dobranoc, Chana-Bajla.

V.

W Chodzerowie oczekują teraz bardzo miłego gościa. Gość ten, chociaż bywa tam często i znany jest wszystkim, nie sprzykrzył się jednak nikomu. Kochają go wszyscy jak dawniej i ofiarowują mu, co mają najpiękniejszego i najdroższego.

Tym miłym gościem jest święty sabat.

Wszyscy śpieszą się na spotkanie miłego gościa. Kramarze zamykają swoje kramiki, posługacz bóżniczny biega zadyszany i uderza trzykrotnie drewnianym młotkiem o każde drzwi, kulawy Natan bieży przez rynek, wołając do przekupek:

— Do domu! szabas się zbliża, świece zapalać! Do domu! do domu!

Szewczyk śpieszy oddać obuwie, krawiec kapotę, kucharka niesie do piekarza szalet (potrawa sobotnia) i drży z obawy, aby piec już nie był zamknięty. Słowem, wszędzie rwetes i bieganina.

Co się stało? Szabas nadchodzi.

Przez cześć dla tego gościa żegna się żyd na całą dobę z najmilszym przyjacielem swoim, z groszem, który go ratuje w każdej biedzie.

Zmrok zapada. W pół godziny później — w miasteczku cisza i spokój, uliczki i rynek jakby wymiecione, nie widać żywego ducha, nie słychać ludzkiego kroku, tylko przed bóżnicą i bet-hamedrasz brzmiało: „lcha dody likras kała” (pieśń wieczorna) „wyjdź oblubieńcze na spotkanie oblubienicy.”

Pomimo ustania zwykłego gwaru, nie było markotno w miasteczku. Uliczki jaśniały od świec szabasowych, za-

palonych w najbiedniejszej chatce żydowskiej, na progach domów siedziały kobiety i dziewczęta, opowiadając sobie różne bajki.

I przed domem Chuny Dancigiera siedziały na ławce dwie kobiety, a przy świetle padającem przez okna, można było dobrze rozpoznać ich twarze. Jedna z nich, lat około czterdziestu, miała twarz podłużną, wysokie czoło, nos grecki, piękne niebieskie oczy; włosy ukryte były pod czepkiem. Druga — lat około piętnastu, bladą miała twarzyczkę, białą jak marmur, czarne, błyszczące oczy, malutkie usteczka, przez które wyglądały dwa rzędy białych i drobnych ząbków; dwa długie, czarne jak heban warkocze, spadały jej na ramiona.

Dwie te kobiety nie zajmowały się bajkami, lecz rozmawiały o rzeczach bardzo poważnych.

— Słuchaj Małko! — mówiła starsza — dawno już chciałam pomówić z tobą. Odkładałam rozmowę z dnia na dzień, — jednakże dłużej zwlekać niepodobna, gdyż chodzi tu przedewszystkiem o ciebie. Wprawdzie tutaj wydają dziewczęta zamąż, nie pytając ich o zdanie, jednakże ja pochodzę z Niemiec i przyzwyczajoną jestem inaczej zapatrywać się na sprawę małżeństwa. A potem, ty jesteś jedynem mojem dzieckiem i całym skarbem moim. Otóż Małko moja, kończysz piętnasty rok życia... Wszyscy czynią mi wyrzuty, że nie wydaję cię zamąż, bo w tutejszym kraju, jak sama wiesz, w szesnastym lub siedmnastym roku nazywają już dziewczynę starą panną. Zresztą ja sama już pragnę jakiejkolwiek pociechy z ciebie. Mówiłam ci już nieraz, że zawdzięczam ciebie najpierw Bogu, a potem bogobojnemu rabi Godelowi, — pojmiesz więc, że jeżeli rabi Godel przysyła do mnie swatów, prosząc o twoją rękę dla syna, nie mogę mu odmówić. Życzyłabym sobie może lepszego narzeczonego dla ciebie niż Chaim, zwlekałam nawet z odpowiedzią od miesiąca do miesiąca, od tygodnia do tygodnia. Ale w tych dniach przysłał do mnie rabi Godel swata Elo-

akima i kazał mi powiedzieć, że dłużej czekać nie może, gdyż Chaim jest dorosłym młodzieńcem. Żąda, abym dziś dała mu odpowiedź stanowczą. Cóż ty na to, moje drogie dziecko?

Małka nie odrzekła słowa, tylko blade jej policzki okryły się ponsem.

— Dlaczego milczysz? — zapytała Miriam — odpowiedz... Wszak przed matką nie masz czego się wstydzić...

— Ja myślę — odpowiedziała Małka — że męża trzeba kochać, tak kochać, jak ty kochasz ojca, nieprawdaż matko?

— Tak, moje dziecko, męża rzeczywiście trzeba kochać. A czy ty sądzisz, że nie mogłabyś pokochać Chaima, gdyby został twoim mężem? Doprawdy, Chaim jest sobie młodzieńcem niczego, przytem jest on przecież synem rabi Godela i wnukiem cadyka... Zobaczysz, że gdy po ślubie przyzwyczaisz się do niego, będziesz go tak samo kochała, jak ja ojca. Co? czy myślisz, że nie?..

— Mateczko! — krzyknęła Małka i łzy spłynęły po bladych jej policzkach.

Miriam wzięła córkę w objęcia i pocałunkami osuszyła jej załzawione oczy.

— Nie płacz, pociecho moja — mówiła do niej — ja — broń Boże, nie będę cię zmuszała, nie jestem przecież tak nierozważną jak inne matki nasze; nie płacz, moje dziecko.

I biedna matka sama rozpłakała się rzewnie.

— Widzisz — rzekła po chwili — ojciec powraca z bożnicy i nowy żaczek także. Chodź prędko do pokoju i obmyj twarz, aby nie było znać, żeś płakała.

Wstały obiedwie i weszły do mieszkania.

Mieszkanie reb Chuny wyglądało teraz — jakby wam to powiedzieć — rzeczywiście świątecznie. Stół nakryty był wielkim obrusem, śnieżnej białości. W pośrodku stołu stał wielki trzyramienny srebrny lichtarz, a po bokach para mniejszych ze stearynowemi świecami. Na jednym końcu stołu leżała dla gospodarza wielka strucla i placek, przykryte serwetką haftowaną złotem, z boku — mała strucla i placek — dla buchera. W środku pokoju wisiał szklany wielki żyrandol o 20 świecach, a na każdej ścianie trzy lub cztery kinkiety o trzech świecach każdy. W pokoju było wesoło i jasno jak w raju.

Któż szczęśliwszy od żyda w piątek wieczór, zwłaszcza gdy żyd jest nieco zamożny? Przez cały tydzień nie czuje on, że żyje; pracuje jak wół, biega, kłopocze się, nie pozwala sobie ani zjeść spokojnie, ani z żoną lub dziećmi pomówić swobodnie, za to w piątek wieczorem wynagradza sobie za cały tydzień. Otrząsnął się z kłopotów, ma na stole ryby i struclę, nie brak i kieliszka wódki; żona i dzieci umyte i wystrojone. Czegoż mu brak? Kto szczęśliwszy nad niego, kto równy mu szczęściem?

Ot, gdyby teraz naprzykład do kulawego Natana sam Rotszyld przyszedł i rzekł do niego:

— Słuchaj, Natanie, jestem Rotszyld. Idź w moim interesie tu lub tam, a dam ci za to tyle, ile sam zażądasz...

Zapewne kulawy Natan uśmiechnąłby się i odpowiedział:

— Słuchaj, panie Rotszyld, gdybyś nie był żydem jak ja, odpowiedziałbym: objaśnij mi świecę. Ale, ponieważ jesteś żydem, więc życzę ci przyjemnego szabasu i — daj mi spokojnie zjeść moje ryby.

Drzwi otworzyły się szeroko i reb Chuna z Janklem weszli do pokoju.

Reb Chuna był mężczyzną wysokiego wzrostu, czarną miał brodę, starannie teraz rozczesaną, ubrany był w czarną atłasową kapotę, przepasaną jedwabnym pasem, na głowie miał drogą czapkę sobolową.

— Git szabes, Miriam, git szabes Małko! — zawołał głośno. — Oto jest nowy bucher „iłuj," który będzie jadał u nas w soboty — dodał, przedstawiając im Jankla.

Miriam spojrzała na Jankla i przekonała się, że Chana-Bajla wcale nie skłamała, unosząc się nad nim; przytem był on teraz starannie ubrany, czapkę miał całą, buty niewykrzywione, koszulę czystą.

— Ot, takiego narzeczonego życzyłabym sobie dla mojej Małki — pomyślała Miriam, przypatrując się Janklowi.

Czytano „szolem alekem" (pieśń na powitanie aniołów sobotnich), reb Chuna śpiewał z intonacyą „ejszys chail," zmówili „kidusz" nad dobrem winem, poczem umyli ręce i zasiedli do stołu; na pierwszem miejscu gospodarz, przy nim żona, obok niej Małka, a naprzeciwko ostatniej — Jankiel.

Teraz dopiero młodzi mimowolnie spojrzeli na siebie i obojga twarze oblał żywy rumieniec. Rozumie się, że ani jedno, ani drugie nie rozumiało, co to znaczy, gdyż byli oni jeszcze niewinni. Jednak każde z nich nieznanego doświadczyło uczucia. Spuścili piękne oczy, jakby wstydzili się spojrzeć na siebie.

Pomiędzy jednem a drugiem daniem reb Chuna prosił Jankla, aby objaśnił jaki ustęp z pisma św.

— Wprawdzie — ciągnął dalej — dawno nie studyowałem, przy ustawicznych bowiem zajęciach, niema czasu zajrzeć w książkę, jednakowoż naukę lubiłem zamłodu.

Jankiel objaśnił jakiś szczegół z historyi biblijnej, tak gładko i tak pięknie, że nawet Miriam zrozumiała. Wykładal z zapałem i w tak pięknie dobranych słowach, że

brzmiały jak najpiękniejsza muzyka, a ten nawet, kto nie rozumiał treści, słuchał z przyjemnością.

Małka, z oczyma spuszczonemi, połykała każde słowo Jankla, tak uważnie, jak amator muzyki chwyta każdy ton dobrego koncertu.

Jankiel nie skończył jeszcze, gdy drzwi się otwarły i ukazał się w nich mały człowieczek. Długa, ruda broda, małe przenikliwe oczy, ogromne rude brwi i płaski nos czerwony, nie dodawały bynajmniej sympatycznego wyrazu całej jego postaci. Na głowie miał wytartą czapkę futrzaną, a ubrany był w podartą atłasową kapotę. Koszula rozpięta, pas wlokący się w części za nim po podłodze, pończochy niezbyt starannie włożone i ogromne pantofle, dopełniały stroju.

Był to swat Eloakim.

— Git szabes, reb Chuno — zawołał głośno — git szabes Miriam; dobrze, widać, trafiłem, na cymes — bardzo dobrze. O! jakąś nową twarz widzę... Kto to? — rzekł, wskazując na Jankla.

— To nowy żak — odrzekł reb Chuna — uczony bucher „iłuj." To coś dla was, reb Eloakimie!

— Wybaczcie mi, reb Chuno — odrzekł gniewnie Eloakim — ja nie handluję gałganami... Dla mnie towar — to tylko dziecko zamożnych rodziców, albo arystokrata, naprzykład wnuk cadyka.

— A wnuk rabina nie jestże dobrym — zapytał reb Chuna — dlaczego koniecznie cadyka?

— Co mnie tam rabin! — mówił Eloakim. — Najwyższą mądrością jest bojaźń Boga, a najważniejszem zadaniem jest zostać bogobojnym chasydem. I Tory uczyć się można, owszem, lecz w celu religijnym, to głównie; rozdział „miszny" przed modlitwą, ustęp „midrasza," stronicę z księgi Zoar — oto, czego żąda Pan Bóg, lecz nie kazuistyki talmudycznej. Wypić na cześć soboty kieliszek wina — i tego Pan Bóg żąda...

Nalawszy sobie wina, zawołał:

— Na zdrowie, reb Chuno — aby nam się wiodło! Na zdrowie, bucher! usłyszałeś ode mnie gorzką prawdę, ale to ci nie zaszkodzi. Odwiedzaj tylko często szkołę reb Godela, obsługuj chasydów, wylewaj nawet pomyje w ich szkole, a możesz jeszcze wyjść na człowieka.

Jankiel nie odezwał się ani słowem, lecz spojrzenie, jakie rzucił na Eloakima, było dostateczną odpowiedzą; mówiło ono wyraźnie, że z takim niegodziwcem nie warto się spierać.

W tej chwili Małka wstała i wymówiwszy się przed matką bólem głowy, poszła do swego pokoju. Odchodząc, spojrzała na Jankla... Młodzieniec dostrzegł, że łza zabłysła w pięknych jej oczach.

— Bardzo dobrze — rzekł Eloakim — że dziewczynka poszła, pomówimy teraz o rzeczy ważniejszej. Wiecie zapewne, reb Chuno, w jakim celu przyszedłem. Reb Godel, daj mu Boże zdrowie, przysłał mnie po stanowczą odpowiedź: tak lub nie? I doprawdy, już dawno czas, aby ta rzecz się skończyła; już rok cały działam w tej sprawie. Boże miłosierny! komuby się śniło, że reb Godel zechce powinowactwa z reb Chuną, a reb Chuna będzie się wzdragał!.. A czy wiecie, reb Chuno, że swatają Chaimowi partyę z dziesięcioma tysiącami rubli? Słyszycie, dziesięć tysięcy! Ale reb Godel koniecznie chce waszej córki za synowę, bo on ją u Boga wyprosił, o nią się starał. A wy się jeszcze wzdragacie... Czy to mądrze, czy sprawiedliwie?

— Dawno już wam mówiłam, reb Eloakimie — odpowiedziała Miriam — że chętniebym wydała córkę za syna reb Godela. Czemuż nie? przecież to dobra partya, a moją Małkę zawdzięczam najprzód Bogu, a potem reb Godelowi. Jednak muszę jedyne me dziecko także zapytać o zdanie.

— Co? — krzyknął Eloakim — co wy mówicie, Miriam, dziewczynkę pytać o zdanie co do partyi!.. Czy to u żydów słychane rzeczy?! I wy to mówicie, wy, chasydka? O! ślicznie Miriam... Gdyby to reb Godel słyszał, ny, ny!..

— Cóż to za gwałt, reb Eloakimie? — odezwał się Chuna — przecież i w piśmie świętem, kędy jest mowa o staraniu się Eleazara o rękę Rebeki dla swego pana Izaaka, znajdujemy: „Nikro lanara wenuszało es piho" (zawołać dziewicę i zapytać się o jej zdanie).

— Dobry mi przykład od Labana aramity! cha! cha! cha! — zaśmiał się Eloakim. — Żyd powinien wzorować się na chasydach, cadykach i postępować jak oni. Czy się zdarzyło kiedy, aby chasyd zapytał córkę, ażali ona chce tego lub innego narzeczonego? co? A jeżeli chcecie, to wam nawet wskażę dowód w piśmie św., że tak jest, jak ja mówię. Czyż nie napisane: „Es byty nosaty loisz" (córkę oddałem mężowi). Słyszycie — „oddałem" — czy rozumiecie, co to znaczy? Mówię naprzykład: dałem temu lub owemu kieliszek wódki, — czy pytałem się wódki, komu ją dać? Czy ta wódka wie, że ją dałem — i komu ją dałem? co?..

— No... — rzekł Chuna — pomiędzy wódką a człowiekiem jest przecież różnica...

— Co za różnica? — uśmiechnął się Eloakim. — Wódka zawraca głowę, a kobieta jeszcze więcej... Drugi kieliszek zwykle lepiej smakuje od pierwszego — druga żona też lepsza od pierwszej.

— Pleciecie już głupstwa reb Eloakimie — wtrąciła Miriam. — Widać, że wy już jesteście nietylko po drugiej żonie, ale i po drugim kieliszku...

— Żart na stronę. Jakąż dajecie mi odpowiedź, reb Chuno?

— Bądźcie łaskawi powiedzieć reb Godelowi, że będę sam u niego i pomówimy o tem.

— Owszem, przyjdźcie — prosił Eloakim — tej soboty dużo będzie gości. Reb Godel, niech mu Bóg da zdrowie, zapewne objaśni wiele z Tory. Ty, żaku, przyjdź także, a dowiesz się dopiero, co Tora znaczy. Dobranoc!

Rzekłszy to — i mrucząc coś niewyraźnie, Eloakim wytoczył się z pokoju, niezbyt mocno trzymając się na nogach.

VI.

W kwadrans po wyjściu Eloakima, Jankiel pożegnał gościnnego reb Chunę i podążył ku domowi.

Wieczór był ciepły i pogodny — w miasteczku panowała cisza, tylko z niektórych okien dolatywał jeszcze głos na poły zaspanych ludzi, odśpiewujących pieśń „Maididuo" lub „Ma jafis." Niebawem i te głosy ucichły, bo śpiewacy znużeni, zasnęli przy stole, a Jankiel słyszał już tylko odgłos własnych kroków.

Szedł on zadumany, zastanawiając się nad swoim losem. Młodociane życie stanęło mu w żywych obrazach przed oczyma.

Widział się najprzód małem dzieckiem, pieszczonem przez matkę. Później matka umarła, a w rok po niej ojciec; obcy ludzie zlitowali się nad sierotą i wychowali go. Wszystko to widział, jakby dopiero dziś się stało — rozmyślał o tem, a wracał ciągle do jednego pytania:

— Pocóż ja żyję na świecie? jaki mój cel? co ze mnie będzie?.. Jestem niby uczony, jestem „iłuj," ale cóż mi z tego? Pytam się, jaką korzyść przynosi moja wiedza komukolwiek, a choćby mnie samemu? Gdy zrana łaknę śniadania, muszę korzystać z miłosierdzia kulawego Natana... Co mi to za wiedza, pytam się, która ani mnie, ani bliźnim moim odrobiny korzyści nie daje? A cóż będzie ze mnie dalej? Co najwyżej zostanę rabinem; wielka mi rzecz! Prawdę mówiąc, w czemże rabin jest lepszy od buchera? Jednego jak drugiego — karmią obywatele. A czemże rabin zasługuje się więcej od buchera? Co najwyżej rozstrzyga on ważne kwestye, — naprzykład: jeżeli szpilka nie przebija żołądka kury nawskroś, to uznaje kurę za koszerną i pozwala ją zjeść... Wielka mi sztuka! Niechby kazał jeść, jeżeli niema ani szpilki, ani żołądka, ani kury do zjedzenia! Niechby się przyczynił, aby drugi miał kurę... Tego on nie potrafi, — więc jakąż on przynosi korzyść?.. Choćbym został gaonem i napisał książkę, a nawet dużo książek, — zawsze to samo będzie pytanie: czy moje książki dopomogą komu do zarobienia na kawałek chleba, a mnie samemu czy przyniosą jaką korzyść? Zdaje mi się, że i wtedy będę takim żebrakiem, takim darmozjadem, jak dziś. Czy dlatego, że mam więcej rozumu od innych, to inni mają na mnie pracować? Piękna mi sprawiedliwość! Zdaje mi się, że powinno być wręcz przeciwnie. Zwierzętom i ptaszkom Bóg dał narzędzia, któremi dostarczają sobie pożywienia: bocian ma długi dziób, by mógł wyciągnąć żabę z błota, pelikan worek i t. d. Człowiekowi zaś na to Pan Bóg dał rozum, by mógł pracować na siebie, a nie był ciężarem nikomu. Rozumie się zatem, że im więcej człowiek posiada rozumu, tem więcej powinien zdobyć pożywienia, nietylko dla siebie samego, ale i dla innych, mniej rozumu od niego posiadających.

A jeżeli głębiej się nad tem zastanowię, — czyż cały naród izraelski nie jest takim Janklem, jak ja? Jest to zdolny naród, posiadający wielki rozum, wielki talent do

wszystkiego. Lecz zamiast tego rozumu używać szlachetnie dla stworzenia dobrobytu dla siebie i innych, zużywa on ten wielki rozum na nieużyteczne dowcipy, kazuistykę i t. p. gimnastykę mózgową, która nikomu ani za grosz nie przynosi korzyści, natomiast utrzymuje się z pogardzonych zajęć, pozostawionych przez inne narody — jak służący, który się żywi okruchami z pańskiego stołu. Wprawdzie wielcy mędrcy nasi powiedzieli, że „wtedy, kiedy lud izraelski wykonywa wolę Boga, prace tegoż ludu spełnią inni...” Ale czyż rzeczywiście tak literalnie należy pojmować znaczenie tych słów? Zdaje mi się, że to jest niemożebnem... Nie — i znowu nie! Skoro mam więcej rozumu niż inni, powinienem być więcej użytecznym od innych. Jestem człowiekiem — muszę nim być — pożytecznym człowiekiem, aby rozum, którym mnie Bóg obdarzył, nie zmarniał.

W ten sposób rozumował nasz Jankiel, posuwając się dalej pustemi ulicami miasteczka. Z kolei umysł jego zdobył się na refleksye następujące:

— Ale jakim sposobem stać się człowiekiem? Trzeba nabrać pożytecznej wiedzy, trzeba poznać, co się dzieje w świecie. Nasi uczeni twierdzą, że wszelkie nauki zawarte są w talmudzie.

Lecz czy to prawda?

Podróżowałem koleją i przyglądałem się, jak maszyna pędzi, chociaż nikt jej nie ciągnie, — jak wagony biegną, chociaż nikt ich nie popycha. I wydawało mi się to jakiemś czarodziejstwem. Pytałem więc ludzi, którzy ze mną jechali, czem się to dzieje? cóż mi oni odpowiedzieli, ci uczeni?

— Bardzo naturalnie, — wagony przyczepione są do maszyny, a maszyna ciągnie je za sobą.

— Ale czem się to dzieje, że maszyna bieży? — pytałem.

— To mi pytanie — odpowiedzieli — od tego przecież jest maszyna...

Czyż to jest odpowiedź? Czy ja po tej odpowiedzi będę mędrszym niż przedtem?

— A jakim sposobem działa telegraf? — zapytałem.

— Bardzo prostym — odpowiedzieli. — Czy nie widzisz drutu? Jak się tutaj pociśnie, to tam odbije; gdyby nie było drutu, byłoby to dziwnem, ale przy pomocy drutu, to przecież bardzo naturalne.

I to piękna odpowiedź... Z takich odpowiedzi wiem tyle, co i ci uczeni, z tą jednak różnicą, że ja przynajmniej rozumiem, że ani kolej, ani telegraf, nie są to rzeczy tak bardzo proste — i że w tem wszystkiem jest wielka myśl, przynosząca wielkie korzyści. Jechałem, naprzykład, za pięć złotych dwanaście mil w przeciągu trzech godzin. Gdyby nie było kolei, musiałbym iść pieszo i pewniebym zachorował, a może nawet i umarł. Ot! temu człowiekowi, który kolej wymyślił — zazdroszczę. On rozumem swoim przysłużył się całemu światu. To się nazywa rozum, przynoszący korzyść, ale nie wymyślanie dowcipnych objaśnień talmudystycznej kazuistyki, z których nikomu nic nie przyjdzie.

A dlaczegożbym ja nie mógł się stać takim człowiekiem jak tamten? I ja mam rozum; tylko trzeba się uczyć, wezmę się więc do nauki.

Gdybym tylko nie był tak samotnym na świecie, gdybym miał choć jednego człowieka, któremubym się mógł choć zwierzyć z myśli moich; lecz czyż można tym ludziom wypowiedzieć to, co mnie dręczy? czyż nie ukamienują mnie oni, skoro o tem usłyszą!

Myśl ta ścisnęła serce Jankla, a oczy zaszły mu łzami. Własne łzy przypomniały mu, że przed godziną widział łzę w innem oku...

— Dlaczegożby nie zwierzyć się tej dziewczynie, tej Małce — błysnęła mu myśl. — Ona zdaje się być bardzo dobrą, rozumną jest zapewne, może i mnie zrozumieć potrafi. Przytem — i ją zdaje się coś dręczyć... Niedarmo oczy jej zaszły łzami, gdy ujrzała rudego swata. Może będziemy mogli jedno drugiemu dopomódz, a że ona jest kobietą, to cóż to szkodzi? Czyż kobieta nie może mieć rozumu? czyż nie ma serca?

Zatopiony w myślach, Jankiel wszedł do izby kulawego Natana. Świece już dawno pogasły, znalazł on jednak posłanie, pomodlił się i poszedł na spoczynek. Długo jednakże usnąć nie mógł. Przed oczyma jego stawała na przemiany to czerwona twarz Eloakima z przenikliwemi oczkami, to jasna twarzyczka Małki, z czystą łzą w oczach.

Wreszcie zasnął mocno.

Nad ranem śniło mu się, że jest w wielkiem mieście, niby w Paryżu lub w Londynie. Widział domy przystrojone i ludzi ubranych odświętnie. Na wielkim placu zebrały się tysiące ludu. Byli tam wielcy dygnitarze, generałowie o złotych szlifach. A w pośrodku on sam stał na wzniesieniu, a obok niego Małka, bogato ubrana, promieniejąca szczęściem. W tem usłyszał z boku rozmowę:

— Co to będzie, po co to zebranie?

— Poczekaj — odpowiedział drugi — zobaczysz wielki cud; zaraz puszczą nowowynalezioną kolej, poruszającą się bez pary, a prędzej, niż zwykła.

— A któż to wynalazł tę kolej bez pary?

— Widzisz, to ten młody człowiek, stojący na wzniesieniu, by wszyscy go widzieć mogli. Nazywa się Jankiel.

Gdy kolej miała już ruszyć, ukazał się na wzniesieniu swat Eloakim i rzekł do niego:

— Jak widzę, nie wylewasz pomyj w szkole chasydów; już ty nigdy człowiekiem nie będziesz...

A zwróciwszy się potem do Małki, dodał:

— Wiesz, Małko, umyślnie po ciebie przyszedłem. Ojciec i matka wzywają cię do domu, bo jutro ma się odbyć ślub twój z Chaimem.

— Co?! — krzyknął Jankiel, ze snu przebudzony.

— Co ci to Janklu, czy ci się co śniło?

Przetarłszy oczy, ujrzał Jankiel stroskaną twarz pochylonej nad nim Chany-Bajli.

VII.

Niedaleko miejskiego bet-hamidrasza stoi w Chodzerowie duży drewniany dom, z ganeczkiem na czterech drewnianych słupach. Jest to prywatny bet-hamidrasz cadyka. Z lewej strony mieści się właściwa modlitewnia, a z prawej mieszkanie cadyka chodzerowskiego, rabi Godela.

W bet-hamidraszu stoi teraz długi stół, nakryty brudnym obrusem. Wkoło siedzą chasydzi na długich drewnianych ławkach i czekają przyjścia rabiego na szulas-sudos (wieczerza szabasowa). Eloakim, swat, a zarazem pomocnik Godela, jest teraz bardzo zajęty i zakłopotany: kogo ma przy stole posadzić, a kogo nie, kogo bliżej rabiego, a kogo dalej.

Jednego z młodzieńców uderzył już w twarz, z dodatkiem napomnienia:

— Cóż ty, smarkaczu, pchasz się do stołu! a stać nie łaska? Uszanowanię szajgec! — krzyknął na drugiego — daj miejsce lepszemu chasydowi! Bądźcie pozdrowieni, reb Chuno! — zawołał, ujrzawszy wchodzącego — przyszliście w sam czas. Rabi zaraz nadejdzie; przygotowałem wam

miejsce obok niego. Odstąpcie, draby, uszanowanie! I ty tu chłopcze — zwrócił się do Jankla — dobrze, tak, to cię lubię. Usiąść przy stole nie mogę ci pozwolić, bo widzisz, nieżonaci nie siadają do stołu rabiego, lecz dam ci dobre miejsce, niedaleko krzesła rabiego, abyś mógł słyszeć Torę.

W tej chwili otworzyły się boczne drzwi i wszedł rabi Godel.

— Rabi idzie! — zawołano zewsząd.

Wszyscy powstali, a rabi zajął swoje miejsce.

Rabi Godel, sześćdziesięcioletni mężczyzna, wysokie miał czoło i długi garbaty nos, małe oczy i ogromne brwi, a gdy spojrzał na człowieka, przejmował go strachem.

— Git szabes, rabi — rzekł reb Chuna.

— Git szabes — odpowiedział rabi. — Niedobrym stałeś się chasydem, reb Chuno. Czemuż tak rzadko dajesz się widzieć, co?

— Wszak rozumiecie rabi, że nie ma się czasu, zajęcia, kłopoty...

— Zawsze ta sama wymówka — odrzekł rabi. — Welo kolha-marbe-bischoro machkim (z nadmiernego zajmowania się handlem, człowiek nie nabiera mądrości), mówią nasi mędrcy. Czy rozumiesz, co to znaczy? ot, poprostu, staje się głupim. Wy, kupcy, obchodzicie się z rabim jak z lekarzem. Jak Bóg dopomoże i nie jest wam więcej potrzebnym, nie chcecie i patrzeć na niego. Co? nieprawdaż Chuno? Ongi, gdyś mnie potrzebował, częściej przychodziłeś do mnie.

— Uchowaj Boże! — odparł Chuna — nie jestem niewdzięcznikiem. Lecz dotąd miałem rzeczywiście mało czasu; od dziś poprawię się jednak; na skruchę przecież nigdy nie jest zapóźno...

— Zobaczymy — zakończył rabi.

A odwracając się do Eloakima:

— Eloakimie, zaśpiewaj bene becholo.

Eloakim zaśpiewał.

Potem jedli ryby. Rabin rozdzielił pomiędzy najbliższych resztki swojej porcyi, a odwróciwszy się i zobaczywszy Jankla za swojem krzesłem, zapytał Chuny, ktoby to był taki? Chuna odpowiedział, że to obcy bucher „iłuj,” który przybył na naukę do rabina, a u niego jada w soboty.

Rabi Godel przywołał Jankla, powitał go szolem-alekem, uszczypnął w policzek i podał mu kieliszek wina.

— Nauka — rzekł — ładna to rzecz, nie ulega kwestyi; lecz loj hamidrasz ikor elo hamase (oprócz nauki trzeba być pobożnym). Jest ona tylko koroną dla bogobojnych.

Chaim aż zieleniał z zazdrości, słysząc jak Chuna nazywa Jankla „iłuj,” a ojciec jego rabi, też go dobrze przyjmuje; podsunął się bliżej Jankla i uszczypnął go z za pleców. Jankiel spostrzegł sprawcę i nie namyślając się wcale, uderzył Chaima w twarz, aż się echo rozległo w pokoju. Ponieważ było ciemno, nikt nie mógł dojrzeć, co i jak się stało, słychać tylko było uderzenie.

— Czy nie możesz w żaden sposób odzwyczaić się od policzkowania, Eloakimie? — gniewnie rzekł rabi — ty stary złośniku!

— To nie ja uderzyłem, rabi, benemunes — odpowiedział Eloakim przestraszony — owszem, niech uderzony sam powie, czy to ja?

Nikt się jednak nie odezwał.

Chaim wstydził się przyznać do otrzymanego policzka, bo jakżeby to wyglądało, gdyby się dowiedziano, że syn cadyka został spoliczkowany przy stole ojca, a jeszcze przez chłopca! Zamilczał więc, lecz gniew palił go jak ogień. Gryzł dolną wargę dużemi zębami, aż do krwi.

— Zemszczę ja się nad tym obcym psem — postanawiał sobie w duchu — dopuszczę się gwałtu względem niego. Przysięgam, że nie ożenię się, dopóki tego psa nie ukarzę.

Podczas gdy Chaim burzył się i złościł, przy stole śpiewano pieśni, rabi objaśniał wiele z Tory i kabalistyki.

Powtarzać wam, kochani słuchacze, tych objaśnień nie będę; nie zrozumielibyście, taksamo, jak i ja ich nie rozumiem, a zdaje mi się, że i sam rabi Godel nie rozumiał tego, co mówił.

Mimo to, zapewniam was, że objaśnienia te musiały być bardzo mądre, bo w czasie przerwy chasydzi szeptali pomiędzy sobą:

— Cudownie! przedziwnie!

Niemniej przeto ów chasyd, który rzekł „przedziwnie”, został przez Eloakima zwymyślany.

— Głupiś! — mówił Eloakim — dlaczego wyrażasz się przedziwnie? Czy to kazuistyka talmudyczna? To tajemnica tajemnic — rozumiesz!

Młodzian, stojący obok Jankla, rzekł do niego:

— Prawda, te objaśnienia przecudne... Jak ty sądzisz?

— Ja tego nie pojmuję — odrzekł Jankiel.

— Nie pojmuję!.. A któż z nas pojmuje? Wszak to zbyt głębokie, abyśmy pojąć mogli, ale przecież poznać można, że przecudne...

Dokończono pieśni i podano wodę do mycia.

Chunę spotkał dziś wielki zaszczyt: rabi Godel prosił go, aby odmówił modlitwę. Po modlitwie przyniesiono świece, a rabi Godel odmówił hawdała (modlitwa po szabasie).

I Jankiel dostąpił wielkiego zaszczytu: rabi podał jemu stoczek do trzymania podczas tej modlitwy, a nie Chaimowi.

— Rabi — szeptali pomiędzy sobą chasydzi — widzi zapewne w tym małym wielkie zadatki na dobrego chasyda.

Po odmówieniu ostatniej modlitwy Godel rzekł:

— Git woch! (dobrego tygodnia) — co chasydzi głośno za nim powtórzyli.

Rabi Godel przywołał potem Chaima i Jankla.

— Zaprzyjaźnijcie się, chłopcy — rzekł do nich — uczcie się razem; łatwiej to we dwóch niż jednemu.

W dowód łaski uszczypnął Jankla w policzek, a zwracając się do Chuny, rzekł:

— Teraz, reb Chuno, chodź ze mną do pokoju; chcę z tobą pomówić...

Wszyscy chasydzi porozchodzili się do domów, a w bethamidrasz zostali tylko Chaim i Eloakim.

— Widzisz, Chaimie — rzekł Eloakim — co wskórałem! Dałem ja im wczoraj, aż im pociemniało w oczach! Miriam mówi mi, że trzeba dziewczyny zapytać o zdanie, więc dałem jej porządną burę i nie odszedłem, dopóki Chuna nie obiecał, że przyjdzie dzisiaj... A widzisz, że rzeczywiście słowa dotrzymał. Myślę, że skoro Bóg da doczekać, to w tym tygodniu jeszcze będziemy obchodzić twoje zaręczyny. Ale! słuchajno, Chaimie, daj mi owe pięćdziesiąt rubli, które obiecałeś....

— Nie mam dziś pieniędzy... I nie wiem już, skąd ich brać...

— Jakto? Nie wiesz, skąd ich masz brać — uniósł się Eloakim — tak krótką masz pamięć, że już zapomniałeś, gdzie szufladka w kantorku ojca? co? Nie sądź-no, mój Chaimie, że ten interes już całkiem załatwiony... Ten mały bucher — ten Jankiel „iłuj” jakoś mi zanadto jest

lubiany w domu Chuny. Ojciec ceni go bardzo, a Miriam, zdaje się, lubi go jak własne dziecko... I dziewczynie może się spodobać jego piękna twarzyczka... Dlaczegoby nie? Od dziewczyny, która czyta trefe pusel (zakazane książki) wszystkiego spodziewać się można... Stąd możesz wnosić, że wiele mi pozostaje do zrobienia....

Przy ostatnich słowach Eloakima, Chaim poczerwieniał ze złości.

— Ny, ny! — rzekł — już ci dam jutro te pięćdziesiąt rubli, tylko działaj skutecznie, nie zwlekaj. A z tym obcym psem już ja sobie poradzę.

— Pamiętaj, Chaimku jutro... A teraz, dobranoc!

Z temi słowy Eloakim wyszedł z bet-hamidraszu, a Chaim pozostał sam. Biegał tam i napowrót po sali, wyrzucając urywane zdania:

— O! ten obcy pies, przybłęda, gotów mi rzeczywiście porwać narzeczoną... Ale, nie! Tego nie będzie, tego nie doczeka, ten włóczęga! Już ja sobie dam radę. Ojciec żądał, abym się z nim zaprzyjaźnił. Bardzo dobrze. Owszem, wyborna myśl... Zaprzyjaźnię się z nim rzeczywiście, a w ten sposób łatwiej mi przyjdzie zgubić go... Wiem już, co zrobię.

W tej chwili reb Chuna wyszedł z mieszkania rabi Godela.

— Czegożeś taki zamyślony, Chaimie — zapytał.

— Mieliśmy wczoraj trudne zadanie do rozwiązania— odrzekł Chaim — myślę nad niem właśnie...

— A to ślicznie — rzekł reb Chuna — że myślisz o nauce... Ale, jeżeli nie możesz poradzić sobie z zadaniem, to poproś Jankla; on ci chętnie dopomoże; on każde zadanie rozwiąże. Dobranoc, Chaimku.

Po odejściu Chuny, Chaim zgrzytnął zębami i uderzył w stół, jak wściekły.

— Przy każdej sposobności — rzekł do siebie — słuchać muszę pochwał, oddawanych temu nienawistnemu przybłędzie! Ny, ny... zdecydowałem się już stanowczo — pozbędę się tego wroga w krótkim czasie, chybabym nie był Chaimem!

* *
*

Miriam czekała na męża, by się dowiedzieć, jak się umówił z rabi Godelem. Reb Chuna opowiedział, że dali sobie słowo, iż małżeństwo Chaima z Małką przyjdzie do skutku — aby jednak i dziewczyna miała czas zgodzić się na takowe, postanowili odłożyć zaręczyny na rok, by mieć sposobność nakłonić ją do związku. Do tego czasu umowa ma być zachowana w najgłębszej tajemnicy.

— Żal mi biednej Małki — odezwała się Miriam.

— E! dziecko z ciebie! dlaczego miałabyś jej żałować? Czyż to Chaim kaleka? Dalibóg, chłopiec niczego; przekonasz się, że za rok Małka sama zgodzi się chętnie wyjść za niego.

— Daj Boże! — westchnęła Miriam i łzy stanęły jej w oczach.

VIII.

Nazajutrz Chaim wręczył Eloakimowi dwie dwudziestopięcio-rublówki.

Nie zapomniał on, widać, gdzie się znajduje szufladka z pieniędzmi w kantorku ojca, — a klucza, który Eloakim zeszłego roku kazał mu dorobić, widocznie jeszcze nie zgubił. Mijał jednak tydzień za tygodniem, a o zaręczynach Chaima z Małką głucho jakoś było w Chodzerowie.

— Teraz już wiem z pewnością — myślał w duchu Chaim — że ten obcy pies stoi mi na drodze. Dopóki dwóch nas tu będzie... ja nie dosięgnę tej partyi... A byłaby szkoda, wielka szkoda, bo reb Chuna jest bardzo bogaty, a Małka jego jedynem dzieckiem... Wreszcie jest ona tak piękną! Nie chce mnie za męża, nie lubi mnie.. Ale to nić, — niech jej tylko włożę ślubną obrączkę, nauczę ją moresu. Aby zaś dojść do tego rezultatu, trzeba się wprzód z tym żakiem rozprawić...

Tego samego dnia, po naukowej godzinie, Chaim zbliżył się do Jankla i położywszy mu rękę na ramieniu, rzekł z udaną uprzejmością:

— Słuchajno, Janklu, nie mogę się długo gniewać, takie już moje usposobienie... Gdybyś innego tak znieważył jak mnie, byłby ci wrogiem na całe życie, lecz ja nie jestem zawziętym. Przebaczam ci z całego serca — i bądźmy od dziś przyjaciołmi; uczmy się razem. Ojciec także tego sobie życzy. Zobaczysz, że będzie dobrze. Cóż ty na to, Janklu, zgoda?

— Uczyć się razem — odpowiedział Jankiel — czemuż nie? Ja z każdym się uczę, kto nauki szuka.

— Tak, to mi się podobasz — rzekł Chaim z udaną radością. — Na zgodę każę dać wódki dla wszystkich bucherów. Chodźcie tu, buchery! Natan, dawaj wódki dla wszystkich i zakąskę.

— Ho, ho! — odezwał się kulawy — w kominie to chyba zapisać... Chaim częstuje wódką wszystkich bucherów! Cóż to się stało? Zostałeś już może narzeczonym posażnej Małki? co?

Chaim poczerwieniał z gniewu.

— To nie twoja rzecz, kulasie! — krzyknął — dawaj wódki!

— Nie masz się czego rumienić — odrzekł Natan — nie jest to wstydem, zostać narzeczonym tak ładnej i bogatej dziewczyny.

Chaim uniósł się jeszcze bardziej i ze złością rzucił kieliszkiem o ziemię.

— Jeżeli nie przestaniesz gadać, kulasie, to ci butelką łeb rozbiję! Zdrowie twoje — rzekł, zwracając się do Jankla — będziemy się razem uczyć?

— Tak, jak powiedziałeś!

I od tego dnia Jankiel i Chaim uczyli się razem.

IX.

Upłynęło sześć tygodni.

Jankiel zyskiwał coraz więcej sympatyi w domu Chuny. Lubił go ojciec, matka prosiła, aby prócz sobót jadał u nich w niedziele, a córka była mu widocznie przychylną.

W niedzielę bywało u Chuny zwykle dużo roboty w handlu; tego dnia bowiem obywatelstwo z okolicy zjeżdżało do Chodzerowa, a Chuna i Miriam tak byli zajęci, że nieraz nie mogli odejść z handlu do mieszkania na obiad.

Jankiel zwykle zastawał wówczas Małkę samą w pokoju. Naturalnie, że młodzi mieli czas poznać się wzajemnie: coraz częściej i więcej rozmawiali ze sobą i już nie spuszczali oczu, jak niegdyś.

Pewnego razu, gdy Jankiel przyszedł na obiad, zastał Małkę nad polską książką. Przeszedł się zamyślony po pokoju, potem stanął nagle obok Małki, uporczywie wpatrując się w książkę.

— Czego tak patrzysz, Janklu? — zapytała Małka.

— Zazdroszczę ci — odpowiedział.

— Zazdrościsz mi? ty? który jesteś uczonym talmudystą?!

— Na cóż mi się przyda moja nauka talmudyczna, skoro w niej nie mogę znaleźć tego, czego nie umiem.

Małka szeroko otworzyła piękne oczy i ze zdziwieniem spojrzała na Jankla.

— Co ty mówisz, Janklu? Nie rozumię ciebie. Czego nie umiesz?

— Powiem ci, Małko — ale...

— Ale, co? — rzekła — zapewne chcesz mnie przestrzedz, abym nikomu nie powtórzyła twej tajemnicy... Tego nie potrzebujesz mi mówić. Nie wiesz, jak cię... O! gdybym była chłopcem, byłabym najlepszym twoim towarzyszem i przyjacielem, byłabym ciągle z tobą razem, nie odstąpiłabym cię na chwilę. Często, siedząc i czytając wyobrażam sobie, że jestem chłopcem, że idę z tobą do

bet-hamidrasz, że siedzimy obok siebie podczas wykładu, potem, śmiejemy się, żartujemy, idziemy razem do domu. To tak przyjemnie, tak dobrze, nie do opisania! Alo cóż, kiedy to tylko sen...

Policzki jej zarumieniły się przy tych słowach, a oczy skryły się przed jego wejrzeniem. Zdawało się, że przelękła się tego mimowolnego wyznania.

— Posłuchaj więc, Małko — rzekł Jankiel głośno — posłuchaj krótkiej historyi mego życia, a wtedy zrozumiesz mnie lepiej. Pochodzenia moich rodziców nie znam dokładnie, wiem tylko, że ojciec był niegdyś — jak ja — bucherem w naszem miasteczku, a matka była córką rabina. Opowiadała mi ona, że w młodości ojciec był uczonym bucherem — i dlatego dziadek obrał go za zięcia.

Posagu dziadek im nie dał, bo sam był biedny, lecz obiecał utrzymywać ich u siebie trzy lata, czego jednak spełnić nie mógł, bo we dwa lata po ich ślubie umarł. Rodzice pozostali bez wszelkich środków do życia. Trzeba było pielęgnować dziecko, które już wtedy mieli i starą babkę, a tu nie było skąd wziąć kawałka chleba. Niektórzy obywatele miasteczka głosowali nawet za ojcem podczas obioru rabina, chcieli go mieć rabinem na miejsce dziadka, — lecz oparł się temu najbogatszy obywatel w miasteczku, protegując swego zięcia na ten urząd. A ponieważ dał za to trzy tysiące złotych na korzyść gminy, stało się więc według jego woli.

Ojciec widząc, że niema rady, wziął się do zegarmistrzostwa. Znał to rzemiosło jeszcze z kawalerskich czasów, — otrzymany bowiem od dziadka zegarek po zaręczynach prawie co dzień rozbierał i napowrót zestawiał. Gruntownie, ma się rozumieć, nie znał się na zegarmistrzostwie, był samoukiem — mistrzem przecież nikt się nie urodzi, jak mówi przysłowie. Lecz w braku innego zajęcia, musiał na chleb zarabiać, jak umiał. Dawano mu do reparacyi

zwyczajne zegary ścienne, proste cebule srebrne, ale dobrej roboty nikt do niego nie przyniósł, — zresztą on nie przyjmował droższych zegarków do reparacyi.

— Czego nie umiem — mawiał — tego się nie podejmuję.

Rozumie się, że rzemiosło niewiele przynosiło dochodu. W ten sposób klepali biedę przez kilka lat; tymczasem przybyło kilkoro dzieci, a nędza rosła z każdym dniem. Starsza moja siostrzyczka dwunastoletnia posiadała uczucie i rozum nad wiek, a widząc nędzę w domu, pracowała nieboraczka ciężko: prała, szyła dla obcych, byle zarobić kilka groszy, przytem mało co jadła, oddając swoją porcyę młodszym dzieciom. W końcu, biedne dziecko zachorowało... Doktór oświadczył, że może powrócić do zdrowia, jeżeli będzie dobrze pielęgnowaną, jeżeli dostanie rosołku, kilka razy dziennie dobrego wina i t. p. Ale skąd ojciec miał wziąć na rosołki i wino, kiedy nawet na suchy chleb nie starczyło? Matka, nadzwyczaj kochająca tę siostrzyczkę moją, przepędzała całe noce przy niej, szyjąc przytem i robiąc pończochy, aby cośkolwiek zarobić i dziecko ratować. Lecz te kilka groszy, które dziennie zarobiła, naturalnie, na rosołki i wino wystarczyć nie mogły.

Po kilku tygodniach siostrzyczka umarła...

Matka ze zmartwienia postradała zmysły; nieraz, bywało zaczynała nagle tańczyć i śpiewać.

— Widzicie tam moją Różkę — wołała — wygląda teraz jak księżniczka... Już nie pierze, ani nie szyje... Zaraz ja tam do ciebie przyjdę, moje dziecko, zatańczymy razem kontredansa.

Po takich paroksyzmach zwykle biedna matka padała bez przytomności. Trwało to ze trzy miesiące. Jednego razu, śród szalonego tańca, krzyknęła straszliwie — „idę już moje dziecko!” — potem upadła, aby nie podnieść się więcej; martwą złożyli na tapczanie...

Miałem wtedy pięć lat zaledwie, pomimo jednak dziecięcego wieku, odczułem stratę matki tak głęboko, że ze zmartwienia prawie zapomniałem o jedzeniu i piciu. Płakałem i płakałem, aż nareszcie usnąłem. Przebudziwszy się, zobaczyłem ojca siedzącego na podłodze bez obuwia — twarz miał bladą jak ściana, a oczy czerwone od łez. Przywołał mnie do siebie, wziął na kolana, całował i pieścił.

— Widzisz, moje dziecko — mówił — jak to źle, jeżeli się nie jest człowiekiem — jeżeli się nic nie umie. Staraj się ty przynajmniej być człowiekiem — ty jesteś „iłuj," masz rozum — staraj się być człowiekiem.

Nie rozumiałem wówczas tych słów i zapytałem ojca:

— A czy ty nie jesteś człowiekiem, ojcze?

— Nie — odrzekł ojciec — gdybym był człowiekiem, to ani Rózia, ani mama nie umarłyby pewnie. Człowiekiem tego tylko można nazwać, kto umie sobie radzić.

Patrzyłem zdziwiony na ojca.

— No, no — dodał — gdy dorośniesz, a przypomnisz sobie słowa moje, to je zrozumiesz.

Od owego dnia ojciec zapadał coraz bardziej na zdrowiu, zaczął kaszlać, a wśród kaszlu nieraz krew widziałem na jego ustach; stał się melancholijnym i małomównym.

Mełamed, u którego się uczyłem, często do ojca przychodził i opowiadał o mnie cuda, ale ojciec zawsze odpowiadał:

— E! co to znaczy! to jeszcze nie wszystko; ja chcę żeby on został człowiekiem.

Mełamed nie zrozumiał, taksamo jak i ja nie rozumiałem, co ojciec chciał przez to powiedzieć.

Tak przeszedł rok cały wśród biedy i cierpienia. Pewnego dnia przywołał mnie ojciec do łóżka i rzekł:

— Uważaj Janklu... Czuję, że już niedługo żyć będę — więc jeszcze raz ci powtarzam: staraj się być człowiekiem, użytecznym człowiekiem, abyś mógł zapewnić byt twej siostrze, twojej rodzinie, a wreszcie dopomódz wszystkim ludziom, którzyby tego potrzebowali. Zapamiętaj sobie te słowa moje.

W kilka dni później ojciec mój umarł. Wszyscy mieszkańcy miasteczka byli na pogrzebie; na cmentarzu rabin miał mowę...

Potem jakiś młody człowiek zawołał:

— Słuchajcie, nie pogrzebiemy zmarłego, dopóki nie przytulimy dwu jego sierot.

Reb Szloma, teść owego młodego projektodawcy, oświadczył się natychmiast gotowym do zabrania chłopca, a Berek zawołał, że weźmie dziewczynkę.

Pochowali ojca. Zmówiłem „kadysz,” potem ów młody człowiek wziął mnie za rękę i zaprowadził do swego teścia. Przebyłem w tym domu do dwunastego roku życia. Szloma i jego żona Sara, byli to bardzo dobrzy ludzie, uważali mnie za własne dziecko i nie zbywało mi u nich na niczem.

W miasteczku słynąłem jako „iłuj,” wszyscy chłopcy mieli sobie za zaszczyt, być moimi towarzyszami. Tak mi było dobrze, żem omal nie zapomniał, iż jestem sierotą.

Ojciec śnił mi się często, opowiadał o matce, o Rózi, a kończył zwykle zapytaniem:

— Czy jesteś już człowiekiem?

Rano po takim śnie, rozmyślałem zwykle o tem, co to znaczy być człowiekiem — i jakimby sposobem zostać nim można.

Izrael, zięć Szlomy, był wielkim przyjacielem mego ojca; bywałem u niego prawie codziennie. Przyjmował mnie serdecznie, nauczył pisać po hebrajsku, gdyż dobrze znał hebrajski język, a w miasteczku zwano go powszechnie Izraelem „baldykdek” (gramatyka). W dniu mojej konfirmacyi, Szloma wyprawił wielką ucztę, przyczem ja miałem długą mowę treści talmudycznej, a rabin, który był obecny, chwalił mnie bardzo, mówiąc, że będę kiedyś „gaonem.” Czułem się szczęśliwym i byłem wesół, jak nigdy przedtem.

Po uczcie Izrael zawołał mnie do swego pokoju, a wziąwszy za rękę, rzekł do mnie:

— Janklu, czy nieboszczyk ojciec nic ci nie powiedział przed śmiercią?

— Owszem — odrzekłem przelękniony — mówił mi, abym się stał człowiekiem — użytecznym człowiekiem.

— A więc — ciągnął dalej Izrael — dziś skończyłeś lat trzynaście, czas zatem, abyś pamiętał o słowach ojca.

— Ależ ja nie wiem, co to znaczy być użytecznym człowiekiem — i jakim sposobem zostać nim można...

— Posłuchaj, Janklu... Świat od czasu swego istnienia ciągle się rozwija i wzrasta. Do tego rozwoju przyczyniają się wielcy ludzie, którzy spostrzegają niedostatki i starają się złe naprawić a niedostateczne uzupełnić. Otóż owych spostrzegaczy nazywamy ludźmi użytecznymi. W każdem pokoleniu są tacy ludzie, — a Bóg natchnął ich swą łaską, obdarzył wielkim rozumem, aby rozwijać i ulepszać mogli świat na korzyść innych ludzi, którzy nawet nie wiedzą, że dla nich się pracuje. Otóż widzisz — dla mnie, naprzykład, człowieka miernego rozumu, dość jest przyglądać się robocie wielkich mistrzów i zachwycać się ich dziełami, gdyż dopomagać im nie jestem w stanie. Lecz ty, moje dziecko, jesteś „iłuj,” masz wielki rozum, — wstyd za-

tem, gdybyś miał stać z założonemi rękoma, zdala patrząc, jak inni dla ciebie pracują i tworzą; ty powinieneś stać się takim mistrzem, takim użytecznym dla świata człowiekiem. Oto masz książki, jakich jeszcze nie widziałeś. Ucz się pilnie, a otworzy ci się świat zupełnie nowy, którego nie znasz wcale.

Nie rozumiałem wtedy jeszcze słów Izraela, niemniej przeto zacząłem uczyć się pilnie z książek otrzymanych od niego. Były to małe książeczki, jakich nie spotyka się u rabinów. Z książeczek tych dowiedziałem się o wielkim świecie, o mistrzach, którzy pracują i tworzą bezustannie. Ale książeczki owe były dla mnie tem zaledwie, czem jest dla więźnia małe okienko okratowane; przez okienko to widzi on wprawdzie promień światła, lecz promień ten zwiększa jego boleść, bo wabi go do swobody, z której korzystać mu niepodobna...

Teraz rozumiem słowa ojca. Teraz sam czuję, że nie tu moje miejsce. Powinienem pójść w szeroki świat, szukać wiedzy i wspólnie pracować z owymi wielkimi mistrzami. Cóż mi jednak począć — skoro ten świat jest dla mnie zamknięty! Nie znając języków, będę w nim jak niemy!.. Pojmujesz teraz, dlaczego ci tak zazdroszczę?..

Przez cały czas tego opowiadania Małka siedziała nieruchoma, a kilka razy łzy błysnęły w jej źrenicach. Gdy Jankiel skończył, wstała i wzruszonym głosem przemówiła:

— Powiedz mi, w czem ci dopomódz mogę? Wszystko zrobię dla ciebie, choćby własną krwią przyszło mi okupić dobro twoje. Mów, Janklu...

— Proszę cię o drobnostkę... Naucz mnie polskiego, rosyjskiego i niemieckiego abecadła, bylebym tylko mógł zacząć czytać. Potem pożyczysz mi książek twoich, a ja sam będę uczył się dalej.

— O! w tej chwili — z radością zawołała Małka.

Poskoczyła do szafki, wyjęła z niej kilka książek, usiadła obok Jankla i zaczęła uczyć go abecadła. W pół godziny Jankiel umiał wszystkie trzy abecadła, a w przeciągu drugiej pół godziny już sylabizował.

— To mi wystarczy — rzekł — dziękuje ci. Reszty sam się douczę. Pożycz mi tylko książek.

Małka była tego dnia niewymownie uszczęśliwioną, z powodu, iż mogła Janklowi wyświadczyć tak wielką przysługę. Jakże oddawna pragnęła ona w czemkolwiek być mu pomocną. Wprawdzie sama posługiwała mu często przy jedzeniu, podawała wodę do mycia rąk, ręcznik — lecz cóż to za przysługa? Lada służąca mogła uczynić to samo. Dziś dopiero nadarzyła jej się sposobność wyświadczenia mu takiej przysługi, na jaką niktby się zdobyć nie mógł, już z tej przyczyny, że Jankiel nie zwierzyłby się z pragnień swoich i myśli. Ona jedna była tak szczęśliwą!.. Oddała Janklowi przysługę, za którą nie zapomni o niej póki żyć będzie, gdyż nauczyła go początków czytania... Cokolwiek zatem użytecznego kiedyś Jankiel uczyni — ona w tem udział mieć będzie!.. Co za radość! Skakała jak dziecko przez dzień cały, a gdy matka wróciła ze sklepu, rzuciła się jej na szyję i całowała ją bez końca.

X.

Niemili goście zawitali do Chodzerowa.

Goście ci, wypędzeni z domów zamożnych, rozgościli się na dobre u biednego rzemieślnika i wogóle u biedaków, których w Chodzerowie jest podostatkiem. Niemili ci goście — to silne mrozy, których biedacy lękają się ogromnie.

Biedny a postępowy żyd, gdy mu zimno w domu, idzie do cukierni, przepędza czas na czytaniu gazety. Chodzerowski żydek do cukierni nie uczęszcza — jego cukiernią jest bet-hamidrasz, — jego gazetą Jochna Stadla, tameczny faktor kahalny.

To cały świat umysłowy chodzerowskiego żydka, a gdy jeszcze ma w kieszeni pięć groszy, by kupić sobie kieliszek wódki u kulawego Natana, szczęśliwym jest jak król Salomon.

Dzień pierwszego grudnia był nadzwyczajnie mroźny. Na dworze zawierucha, że grzech było nawet psa wygnać z domu. Wieczorem na uliczkach było pusto, jakby wymiótł, — natomiast w bet-hamidraszu panował gwar niezwykły.

Za długim stołem siedziało tam około dziesięciu żaków, a pośrodku stołu leżała zatłuszczona i zapocona jarmułka, a w niej dwadzieścia cztery zwiniętych kartek. Jeden z żaków wziął jarmułkę, pomięszał kartki i rozdał każdemu po dwie.

— Ja stawiam grosz — rzekł jeden z nich.

— A ja trzy grosze — odezwał się drugi.

— On cię straszy — krzyknął czerwony tłusty żak — dodaj! Głowaczewski, powiadam, że on cię straszy...

— A dodasz mi dwa grosze do spółki — zapytał Głowaczewski.

— Co tam wasza spółka — odezwał się Chaim — ja trzymam twoje trzy grosze i dodaję jeszcze pięć.

— Ośm groszy? — z przestrachem zapytał Głowaczewski.

— Tak, tak — potwierdził Chaim — ośm groszy. Albo co? Mam się bawić, jak wy kapcony? Naturalnie, u was grosz — także pieniądz!..

— Dodaj Głowaczewski — krzyknął czerwony żak — należę do spółki; stawiam moje tygodniowe wsparcie u reb Chuny.

— Co mi tam po takiej stawce — mruknął Chaim — gotówkę daj, gotówkę!

Czerwony żak zerwał jarmułkę z głowy i cisnął ją na stół.

— Masz fant — krzyknął — ile masz? My mamy trzydzieści jeden, pierwsza ręka.

Szybkim ruchem chciał zgarnąć pieniądze.

— Nie ruszaj! — krzyknął Chaim, uderzając go po ręce — nie twoje pieniądze...

— Jakto nie moje? — pytał z przestrachem czerwony żak — czy nie słyszysz, że mamy trzydzieści jeden, pierwsza ręka?

Chaim nic nie odpowiedział, tylko rozwinął obie swoje kartki i pokazał na każdej dwójkę.

— Rausz! — krzyknął czerwony i schwycił się za głowę — „rausz!” zemdleję... Na trzydzieści jeden, pierw-

szą ręką, żeby nie wygrać!.. Zapewne skrewił; przeliczmy kartki.

Przeliczyli — i pokazało się, że było ich tylko dwadzieścia trzy. Poszukano pod stołem i rzeczywiście znaleziono brakującą kartkę u nóg Chaima.

— Moje pieniądze! moja jarmułka! — wołano zewsząd.

W ten sposób bawiła się młodzież.

A w drugim rogu sali wkoło wielkiego rozgrzanego pieca siedziało z dziesięciu starszych. Byli to obywatele miejscy.

W środku, niby minister jaki, rozsiadł się faktor kahalny, Jochna Stadla, w szlafroku flanelowym, w czerwone pasy, w jarmułce na bakier — z nogami wysuniętemi naprzód i z długim cybuchem w zębach. Jochna Stadla dziwy opowiadał zebranym.

— Co wy tam wiecie o tem, co się w świecie dzieje — mówił z ważną miną. — Alboż wy widzieliście co? Ja to mogę powiedzieć, że widziałem świat. Po denuncyacyi — czego Boże uchowaj — byłem naprzykład w Warszawie. Idę ulicą i rozglądam się na wszystkie strony. Spojrzę — aż tu widzę ogromny pałac, trzy razy większy niż cały Chodzerów, z olbrzymiemi filarami i wielkim zegarem u góry.

— Co to za gmach? — pytam przechodzącego żyda.

— To bank — odpowiedział.

— Bank — pomyślałem — trzeba zobaczyć, nietylko zewnątrz, ale i wewnątrz. Czy myślicie, żem nie wszedł?

— Niepodobna — odezwał się Hersz Sofar — i rzeczywiście, wszedłeś do środka? Jakim sposobem?

— To mi pytanie! Czy myślicie, że jestem takim niedorajdą, jak każdy z was? Podchodzę, aż tu stoi wysoki

jenerał w trójgraniastym kapeluszu, — szeroka, niebieska wstęga przez ramię, na piersiach pełno orderów, a w ręku miał ogromną laskę, z wielką złotą główką, wartości najmniej tysiąca rubli. Wąsy ogromne i bakenbardy, że strach było nań spojrzeć... Coprawda, z początku zląkłem się trochę i już chciałem zrejterować, ale pomyślałem wreszcie, że kiedym już tu doszedł, trzeba spróbować i dalej, aby koniecznie zobaczyć bank.

— I cóżeś zrobił? — zapytał Hersz.

— Nabrałem otuchy, zdjąłem czapkę, pocałowałem jenerała w rękę...

— Jasny panie jenerale — mówię — proszę do bank.

Uśmiechnął się i pokazał ręką, abym wszedł.

— I wcale się nie gniewał? — zapytał Hersz.

— Bynajmniej — odrzekł Jochna. — Powiadam wam, że tylko z wielkimi ludźmi dobrze jest mieć do czynienia. Takie oto chodzerowskie burmistrzątko wstydzi się ze mną mówić na ulicy... A co znaczy takie burmistrzątko wobec takiego jenerała?

— A jak wygląda bank wewnątrz? — zapytał Chaim rzezak.

— Wewnątrz — opowiadał Jochna — ogromna sala jak tutejszy rynek, a może i większa, nie mogłem zmierzyć dokładnie, a tak wysoka, że okiem dojrzeć nie można. Podłoga wysadzona drogiemi kamieniami, a w górze wokoło galerya żelazna. W środku sali poustawiane ławki z numerami, a w ławkach siedzą w cylindrach wielcy bankierzy, naprzykład, jak Rotszyld — i szepczą coś pomiędzy sobą. Gdy tak chodzę i przyglądam się, słyszę naraz dzwonek... Wszyscy ci wielcy panowie z miejsc powstawali, a ja, naturalnie, natychmiast dałem nura.

— A księcia widziałeś? — zapytał Hersz.

— Zdaje mi się, że widziałem — odpowiedział Jochna — gdyż wychodząc z banku, spostrzegłem, jak jenerał kładł komuś palto. A komużby, pytam się, kładł jenerał palto, jeżeli nie księciu, co?

— A tak, to zapewne był książę — rzekł Chaim rzezak.

— Bezwątpienia — potwierdził Hersz.

— A w Saskim Ogrodzie czy byłeś, Jochna? — zapytał inny z obecnych.

— Ny... już wam raz powiedziałem, że tylko z wielkimi ludźmi dobrze jest mieć do czynienia... Wychodząc z banku, ujrzałem ogród otoczony żelaznym parkanem.

— Co to za ogród? — pytam się przechodzącego chłopca.

— To Saski Ogród — odpowiada.

— Ogród Saski — to warto zobaczyć. Idę więc, podchodzę do bramy — stoi milicyant.

— *Kuda jewrej?* — pyta się gniewnie.

Pokazuję ręką, że chcę wejść do ogrodu.

— *Stupaj nazad!* — krzyknął.

— Jakto — pomyślałem — dopiero co jenerał wpuścił mnie do banku, a tu prosty milicyant nie wpuszcza mnie do ogrodu? Nie zważam na jego słowa i idę sobie dalej. Cóż on wtedy? Chwyta mnie za kołnierz i wypycha z taką siłą, żem o mało rąk i nóg nie połamał. Rozgniewałem się okropnie, chciałem nawet wrócić się do jenerała i opowiedzieć mu o śmiałości takiego milicyanta; niezawodnie dałby mu dymisyę. Lecz namyśliłem się, że nie warto się pospolitować. Słowem, jeszcze raz powtarzam, że tylko z wielkimi ludźmi trzeba mieć stosunki, a najlepiej się na tem wychodzi.

— A Kopernika widziałeś, Jochna? — zapytał Tratel, filozof.

— Jakto nie miałem widzieć? A czegoż to ja nie widziałem? Widziałem króla Zygmunta i Kopernika widziałem, z dużą kulą w ręku.

— Kto to jest, ten Kopernik? — zapytał Hersz — czy to też król?

— Co za król — ironicznie odezwał się Tratel — Kopernik był to filozof, który upornie utrzymywał, że nie słońce obraca się koło ziemi, lecz przeciwnie, ziemia kręci się naokoło, a słońce stoi sobie na jednem miejscu.

— W takim razie był to prawdziwy epikurejczyk — krzyknął Hersz. — Przecież wyraźnie napisano w piśmie świętem: „I rzekł Jozue: stań słońce w Gibbonie!” z czego wnioskować należy, że słońce zwykle krąży.

— A przytem to kapitalne głupstwo — dodał Chaim rzezak. — Bo jakżeż? jeżeliby ziemia się obracała, to ludzie przecieżby pospadali... Domy, przypuszczam, mogłyby się trzymać, bo mają fundamenty, ale ludzie i zwierzęta przecieżby pospadali, co? Aj! aj! czy się nikt nie domyślił zapytać o to Kopernika?

— Niech ci się zdaje — odrzekł Tratel — że pytano go o to, a on odpowiedział, że ziemia ma taki magnes, który ku sobie przyciąga...

— Co mi tam te brednie — rzekł Chaim — magnes przyciąga żelazo, ale nie ludzi i zwierzęta. Zresztą jest to kapitalnem głupstwem... Ziemia się obraca! ny, ny, jakby to wszystko wyglądało do góry nogami?

Na ten argument Tratel nie znalazł tak prędko odpowiedzi. Radby obronić Kopernika, chociaż epikurejczyka, ale zawsze kolegę-filozofa.

— Filozof powinien obstawać za filozofem — myślał Tratel — i szukał odpowiedzi na pytanie Chaima...

Wtem drzwi otworzyły się szeroko, a w nich ukazał się kulawy Natan. Twarz miał bladą jak chusta i drżał cały ze strachu.

— Panowie! — zawołał — wielkie nieszczęście spotkało nas i całe miasto.

— Co za nieszczęście? — zapytano dokoła.

— Bardzo źle z nami — odrzekł kulawy — trzeba będzie nakazać post...

— Co to? — powtórzyli wszyscy przestraszeni — czy broń Boże epidemia, czy co? gadajże!

— Nie mam sił... nie mogę — odparł kulawy — dajcie mi tylko napić się wódki.

Doszedł do szafki i nalał spory kieliszek.

— Na zdrowie, panowie! — krzyknął — aby nas Bóg od tego nieszczęścia zbawił... — i duszkiem wychylił. — A-a-a-a!.. — mówił dalej, głaszcząc się po brzuchu, — a-a-a-a!.. — dusza mi wróciła, doprawdy...

— Gadajże do licha! — zawołali obecni.

— Słuchajcie, panowie! źle, bardzo źle, benemunes... W mykwie coś straszy!

— Co straszy? — zapytali wszyscy.

— Nie wiadomo jeszcze — odpowiedział Natan — czy to łec czy szed (strach czy duch), ale straszy okropnie, benemunes. Dziś wieczór Frommet była w mykwie, a gdy chciała zejść do wody, usłyszała nagle stąpanie na górze, później usłyszała głos wymawiający jakby polskie, jakby rosyjskie wyrazy, a spojrzawszy w górę, ujrzała przez szparę sufitu światło. Biedaczka tak się przestraszyła, że wpa-

dła do mego pokoju, za pozwoleniem, w jednej koszuli i zemdlała. Nie można się było niczego od niej dowiedzieć, bo nawet, gdy ją docucili, nie mogła słowa wymówić, tylko Chana, kąpielowa, która przybiegła za nią, opowiadała całą historyę.

Buchery usłyszawszy o strachach, rzucili kartki i przybiegli do pieca. Wszyscy pobledli ze strachu, tylko Tratel zachował przytomność.

— Może to jest człowiek — odezwał się.

— Masz tobie filozofa! — zaśmiał się Natan — na tej górze zapewne od stu lat ludzka noga nie postała, nawet niema drabki, by tam wejść... A w taki mróz i zawieruchę, czyżby się komu chciało tam chodzić — i po co?..

— A prócz tego — odezwał się Chaim — któżby tu w miasteczku umiał po polsku, po niemiecku i po rosyjsku?..

— Na ten argument Tratel nie miał odpowiedzi i sam przyznawał, że to coś niedobrego — i że trzeba koniecznie wyśledzić, czy to duch czy strach?

— Panowie! — zawołał — chodźmy wszyscy na miejsce i przekonajmy się.

— Dobrze — rzekł Chaim — zgadzam się, jest nas więcej niż dziesięciu (minien), zły duch nie może mieć nad nami siły. Mam właśnie przy sobie „mezuzy.” Weźcie każdy po jednej i zrewidujcie swoje „cyces,” czy są w porządku.

Poszli, a serce biło każdemu zosobna.

— Kto się boi, niech lepiej wraca do domu — odezwał się Chaim, gdy już byli w drodze — aby innym nie odbierał odwagi.

Usłuchali go rzeczywiście i większa część odeszła do domów; pozostali tylko rzezak, Hersz, Tratel, kulawy Natan, Głowaczewski i Chaim Godela.

Natan szedł naprzód i pierwszy zbliżył się do mykwy.

— Oto — zawołał — patrzajcie!..

Przez szparę dachu widać było światło i kiwającego się człowieka.

— W samej rzeczy — krzyknął Hersz — prawda...

— Zbliżcie się do ściany — radził Tratel — trzeba także usłyszeć, aby odróżnić, czy to duch czy strach.

Drżący zbliżyli się wszyscy do ściany, lecz udawali zuchów, lękali się bowiem, aby ich Tratel nie nazwał tchórzami.

— Strzeżcie się — on mówi wszystkiemi językami — krzyknął filozof. — W nogi, bracia! uciekajmy... — to strach...

Natan pobiegł do mieszkania, a reszta uciekła.

Chaim obejrzał się po drodze i zawołał:

— Widzicie, pokazuje nam język.

Hersz nawet się nie obejrzał, lecz uwierzywszy Chaimowi na słowo, krzyknął:

— Prawda, a jaki ogromny język — strach!..

Tak się skończyła pierwsza wyprawa przeciwko mniemanemu strachowi w mykwie.

XI.

Nazajutrz rano wiadomość o strachu błyskawicą rozeszła się po całem miasteczku. Mierzono język stracha na łokcie. Jeden utrzymywał, że strach ma język trzy łokcie długi, a drugi sprzeczał się, że trzy i ćwierć.

— Gdyby przynajmniej obrał sobie inny, prywatny dom na siedzibę — rzekła Sura rabinowa — byłoby pół biedy, ale wlazł do mykwy... To bardzo źle. Czyż to możebne, żeby taka gmina jak Chodzerów pozostała odrazu bez mykwy. Gdyby to jeszcze latem, możnaby sobie poradzić, — możnaby pójść do stawu, ale zimą — to przecież coś okropnego...

W miasteczku powstał ogromny rwetes. Kąpielowa przybiegła do dozorów, płacząc, że jest nieszczęśliwą, że umrze wraz z dziećmi z głodu; płaci bowiem na korzyść gminy za mykwę czterysta złotych rocznie, a tu strach, dyabli wiedzą skąd się wziął — i odrazu odbiera jej chleb.

— Panowie — krzyczała — radźcie, bom nieszczęśliwa z mojemi robakami.

Szmul Chused przybiegł z krzykiem do rabina.

— Rabbi — wołał — mykwy niema! stanie się, uchowaj Boże, grzech i padnie na nasze głowy, szczególniej na waszą, bo wy jesteście głową miasta, rabinem, a na was ciąży obowiązek wynalezienia środka.

— Cóż ja mogę poradzić? — odrzekł rabin — u strachów nie mam poważania, bo w nich nie wierzę. Idźcie do dozorów, niech zwołają sesyę.

W godzinę później posługacz bóżniczny uderzał trzykrotnie drewnianym młotem w każde drzwi, wołając:

— Na sesyę w przedsionku bóżnicy.

Po upływie pół godziny wszyscy obywatele byli już zgromadzeni w przedsionku.

Berek Motyl, starszy dozorca, zajął pierwsze miejsce, dwaj inni obok niego, a za nimi prezesowie różnych towarzystw dobroczynnych; reszta stała.

— Panowie! — zagaił naradę Motyl — wiecie doskonale wszyscy o nieszczęściu, jakie spadło na nasze miasteczko — pomyślmy i radźmy, co czynić... Co do mnie — jestem zdania, że niebezpieczeństwa niema, bo z dawien dawna wiadomo, że „lec" nic złego nie robi. Gdyby to był „szed," to rzeczywiśsie byłoby źle, ale jeżeli „lec," to bagatela. Jednakowoż powiedźcie każdy swoje zdanie.

— Jakto, niema niebezpieczeństwa? — odezwał się Motje szewc — akurat zgadł... Posłuchajcie, panowie, historyi jednego stracha, historyi której ja sam byłem świadkiem. W Purysowie mieszka szewc Zurach, z którym pracowałem jako czeladnik u jednego majstra. U tego Zuracha mieszkał na górze strach. Pewnego dnia Zurach wybierał się na jarmark i pracował całą noc wraz z czeladnikami. Mój dobry strach wychyla się tedy z pod dachu i pokazuje Zurachowi język przez okno. A cóż Zurach na to? chwyta ostry nóż, który mu służył do krajania podeszew i odcina strachowi koniec języka. Strach nie gniewa się o to bynamniej — i znów język pokazuje. Zurach znów odcina — ten znowu, a ten znowu, ten pokazuje, a ten odcina i tak bez przerwy, aż zaświtało. Wtedy Zurach, chcąc zapakować towar na jarmark, spojrzy, — o zgrozo! Od wszystkich butów i trzewików poodcinane nosy i to świeżo. Wtedy dopiero domyślił się Zurach, że odcinając strachowi języki, w rzeczywistości odcinał nosy od butów. Opowiadał mi o tem terminator, który właśnie u tego Zuracha pracował. Czy rozumiecie teraz, panowie, co strach może? ha? Czy niema niebezpieczeństwa, reb Berku?

— A ja wam mówię, panowie... — odezwał się Szmaja łatacz, lecz przerwał mu szewc Motje:

— Także mi człowiek do rady! on też chce mieć zdanie o rzeczach kabalnych.

— Dlaczegożby nie — odparł Szmaja. — Czyż ja nie mam żony? Jeżeli ty się odzywasz, to i ja się mogę odezwać.

— Co ty się ze mną równasz, — czèm jestem ja, a czem ty, łobuzie? Ja jestem synem uczciwych rodziców, a ty — włóczęgą bez ojca i bez matki.

— Cicho, panowie! — zawołał Berek — słuchajcie! My nic tu nie pomożemy i nic mądrego nie wymyślimy. Lecz mamy, chwała Bogu, cadyka w mieście, udajmy się do niego, niech on poradzi.

— Bardzo słusznie — odezwali się wszyscy — chodźmy do rabiego.

Wszyscy tedy poszli do rabi Godela. W przedpokoju spotkali Eloakima.

— Aha! — mruczał pod nosem — kiedy bieda to do żyda... Cóżeście uradzili na sesyi, mądrale? cóż? Nie możecie nic poradzić przeciwko strachowi, hę? Nie mogliście to odrazu przyjść do rabiego, mądrale?

— Słuchaj, Eloakimie! — rzekł Berek — dostaniesz na butelkę dobrego wina, ale postaraj się, żeby nas rabi przyjął jak najprędzej.

— Grubo się mylisz, Berku — odpowiedział Eloakim — tu nie o butelkę wina chodzi... Interes ten będzie kosztował akurat ośmnaście rubli... Pidion dla rabiego, a mnie też z pięć, sześć rubli — nie zaszkodzi — niech gmina płaci, to wy, dozorcy, mniej będziecie kradli...

Berek i Eloakim szeptali przez chwilę pomiędzy sobą, poczem Eloakim wszedł do pokoju rabi Godela zaanonsować, że obywatele przyszli poradzić się względem stracha w mykwie.

Rabi wszedł do przedpokoju z uśmiechniętą miną.

— Rabi! to nie żarty, niebezpieczeństwo grozi! — krzyczeli wszyscy. — Wyratowaliście nas z wielu nieszczęść, wyratujcie i z tego jeszcze.

— Nic wam nie będzie — odrzekł rabi z uśmiechem — niema, broń Boże, niebezpieczeństwa. Gdyby zaś dzisiaj to samo się pokazało co wczoraj, to ja sam dziś wieczorem zajdę do mykwy, ale pod warunkiem, żeby nikt się nie ważył iść za mną. Słyszycie? Bywajcie zdrowi!

Trzeba wiedzieć, że rabi Godel był rozsądnym człowiekiem i w strachy nie wierzył; był pewny, że na strychu w mykwie niema żadnego niebezpieczeństwa. Złodziej ani rabuś nie poszedłby tam, bo i po cóż? Znalazłby conajwyżej starą miotełkę z łaźni. Rabi przypuszczał, że mógł tam zabłądzić jakiś waryat lub coś podobnego, a że owi głupcy myślą, żo to strach albo duch, — niechaj w to wierzą, jak w tysiące innych głupstw.

— Co mi to szkodzi— i owszem, niech wierzą — mówił do siebie rabi — świat nie mógłby istnieć bez głupców...

O dziesiątej wieczorem wyszedł rabi, a za nim Eloakim z latarką i drabką w ręku; obaj udali się do mykwy. Gdy przybyli na miejsce, rabi przystawił drabkę, wziął latarkę w rękę i wszedł na górę. Eloakim zaś pozostał na dole.

Na obszernej górze wiatr dął i harce po wszystkich kątach wyprawiał.

W kącie spostrzegł rabi skurczoną postać, siedzącą przy świeczce, z książką w ręku, a przybliżywszy się, poznał Jankla.

— To ty jesteś, filucie — rzekł rabi — tyżeś to narobił tyle strachu w całem miasteczku? Zapewne czytasz polską książkę i obawiasz się, aby nikt tego nie spostrzegł... Nie bój się, filucie, prócz mnie nikt nie wie, że ty jesteś tym strachem, — a ja nie powiem nikomu, wierzaj mi. Lecz proszę cię, od dziś dnia poszukaj sobie innego miejsca do nauki. Pozostań tu jeszcze chwilkę, a później zejdź, aby cię nikt nie spostrzegł, rozumiesz?

I rabi zeszedł z góry nietknięty.

Nazajutrz, Eloakim opowiadał wszystkim, że słyszał, jak rabi walczył ze strachem, dopóki go nie zwyciężył; a potem go zaklął, aby poszedł do pustych lasów.

W niespełna kilka dni w całej okolicy wiedziano o chodzerowskim strachu i o wielkim cudzie, zdziałanym przez chodzerowskiego cadyka.

XII.

Rabi Godel, naturalnie, dotrzymał słowa; nie powiedział nikomu, kto był owym strachem w mykwie, nikt zatem w miasteczku nie wiedział, że to był Jankiel.

Jedna tylko istota odgadła całą prawdę; była to Małka. Wiedziała ona bowiem, że Jankiel uczy się polskiego, rosyjskiego i niemieckiego języka. Wiedziała też, że mieszkał u Natana w domu kąpielowym. Gdy więc usłyszała

o strachu w mykwie, mówiącym trzema językami, nietrudno jej było domyśleć się, kto był tym strachem.

Jankiel stał się dla niej droższym od tej chwili. Naraża swoje zdrowie, siedząc podczas mrozów na zimnym strychu godzinami całemi, aby się uczyć — myślała — oto jest człowiek, jakim być powinien.

Gdy Jankiel przyszedł na obiad w niedzielę, wyszła na jego spotkanie i powitała go z uśmiechem:

— Jak się masz, strachu? Narobiłeś niemało komedyi w miasteczku.

— Cóżem ja temu winien — odrzekł Jankiel — że w mieście pełno głupców. Z tej całej awantury tyle tylko zyskałem, że nie mam się teraz gdzie uczyć — a to najgorsze...

— No, no! nie troszcz się tak bardzo — pocieszała go Małka — znajdziemy radę.

Leży to w charakterze prawie każdego człowieka, że gdy doświadcza radości lub smutku, radby się z bliźnim podzielić. To też Małka, dowiedziawszy się, że Jankiel jest niezwykłym młodzieńcem, pragnęła koniecznie podzielić się z kimś tą wiadomością. Wiedzą coprawda, że on jest „iłuj" uczonym talmudystą, lecz jakim on jest wogóle człowiekiem, jak bardzo uzdolnionym, tego nikt nie wie. Chciałaby ona, aby chociaż jedna jeszcze osoba prócz niej wiedziała o tem... Ale czyż można komu z tych ludzi zaufać? A przecież w ich oczach nie będzie to zaletą Jankla, lecz przeciwnie wielką wadą... Kto wie — nawet rodzice, gdy się o tem dowiedzą, przestaną może poważać Jankla — a może nawet zabronią mu wstępu do domu...

Teraz przybył jej nowy kłopot: jakim sposobem i gdzie wynaleźć dla Jankla miejsce do nauki? Gdzie tu pozyskać w mieście człowieka, któryby naukę obcych języków nie

uważał za grzech?.. Myślała nad tem i przemyśliwała, aż nareszcie wynalazła.

Burmistrz chodzerowski, jak wielu urzędników dawnych czasów, lubił kieliszek dobrego węgrzyna i prawie codzień odwiedzał handel Dancygierów, sprowadzając ze sobą znajomych. Nic dziwnego, że był on bardzo pożądanym gościem w handlu Dancygierów i — że starali się oni pozyskać jego sympatyę. Dawali mu wina na kredyt, o zapłatę nigdy się nie upominali, naturalnie też burmistrz, który wogóle był zacnym człowiekiem, bardzo się z czasem do tego domu przywiązał.

Tak naprzykład, w sobotę, proszony lub nie, przychodził do Dancygierów na żydowskie ryby, wychwalając je, że mają smak wyborny. Miriam miała u niego wielkie poważanie, — a gdy w miasteczku potrzebował kto łaski burmistrza, przychodził do niej z prośbą, bo ona wskórała u niego wszystko. Małkę znał od dziecka, nosił ją często na ręku i pieścił, a jeszcze i teraz lubił z nią rozmawiać i dowcipkować.

W kilka dni po awanturze ze strachem, burmistrz przyszedł do Chuny i zaczął — ma się rozumieć — mówić o tem, trzymając się za boki od śmiechu.

— Nie pojmuję — mówił — jakim sposobem żydzi, tacy mądrzy do handlu, mogą być tak naiwni, gdy chodzi o uwierzenie pierwszej lepszej banialuce. Ciekawy jestem — zwrócił się do Małki — kto tam mógł być na tym strychu. Szkoda, żem nie wiedział o tem w pierwszej chwili; byłbym posłał ludzi, — może się tam ukrył złodziej, włóczęga lub przemytnik z towarem przemycanym...

— Jeżeli mnie pan pięknie poprosi — rzekła Małka — to powiem, kto był owym strachem.

— Ty wiesz? — zapytał burmistrz zdziwiony.

— Tak, wiem — odparła — i tylko ja jedna wiem, a nikt więcej.

— No, to proszę cię, piękna, droga Małko, powiedzże i mnie.

— Powiem, lecz pod warunkiem, że mi pan przyrzeknie pod słowem honoru — po pierwsze — nikomu o tem nie wspomnieć, a powtóre, — że uczynisz pan to, o co cię poproszę.

— Ależ dobrze — odpowiedział burmistrz — masz moje słowo „pod chajrem,” że nikomu nie powiem i uczynię, co zażądasz.

Małka w żywych słowach opowiedziała burmistrzowi historyę Jankla, a opisała jaknajdokładniej, jaki to doskonały młodzieniec, jak przed sześciu tygodniami w ciągu jednej godziny nauczyła go czytać po polsku, niemiecku i rosyjsku — i że on to był na strychu w mykwie, ucząc się pomimo zimna, potajemnie, gdyż bał się, aby nikt o tem nie wiedział; w Chodzerowie bowiem poczytanoby mu to za wielki grzech.

Burmistrz niezupełnie wierzył w wielkie zalety Jankla, lecz sam fakt, że żydowski chłopak z własnego popędu bierze się do nauki, a tak gorąco, iż naraża swoje zdrowie podczas mrozu, na pustym strychu, zainteresował go bardzo.

— Czy to ten ładny chłopak, którego widuję u was w soboty, ma takie zdolności i chęć do nauki? — zapytał zdziwiony.

— Nieinaczej — odpowiedziała Małka — nauka jest jedynem jego dążeniem. A teraz, z powodu owej awantury ze strachem, jedynym znów jego kłopotem, brak miejsca, gdzieby mógł się uczyć bez przeszkody. I — oto właśnie chciałam cię prosić, panie burmistrzu, abyś mu pozwolił

uczyć się codziennie, godzinę lub dwie, w swojem mieszkaniu...

— Owszem, jaknajchętniej — odrzekł burmistrz — uważam to za dobry uczynek, tembardziej, jeżeli ten chłopak w istocie ma tak wielkie zdolności. Oddam mu osobny pokój, aby go nikt nie spostrzegł, dam mu nawet potrzebne książki. A gdy zechce, to każę guwernerowi moich dzieci, aby i jemu dawał lekcye.

Małka nie zdołała jeszcze podziękować burmistrzowi za obietnicę, gdy Jankiel wszedł do pokoju.

— Otóż i bohater in persona — rzekł burmistrz.

Przywołał Jankla do siebie, podał mu rękę i rzekł łagodnie:

— Chwalono cię tu bardzo, mój chłopcze; słyszałem, że masz nieprzepartą chęć do nauk i obcych języków, to bardzo pięknie — to mi się podoba.

Małka chciała przetłómaczyć Janklowi słowa burmistrza, lecz okazało się to zbytecznem, gdyż Jankiel zrozumiał i trafnie czysto odpowiedział po polsku.

— Oho! oszukałaś mnie, widzę — rzekł burmistrz, zwracając się do Małki. — Mówiłaś, że dopiero przed sześciu tygodniami zaczął się uczyć abecadła?..

— Przysięgam, panie burmistrzu, że mówiłam prawdę — sama się temu dziwię. Gdybym na własne uszy nie słyszała, nie wierzyłabym, aby człowiek w przeciągu sześciu tygodni i bez pomocy nauczyciela mógł się nauczyć obcego języka, którego dotąd nie znał.

Burmistrz i Małka opowiedzieli Janklowi, co ułożyli pomiędzy sobą, mianowicie, że wolno mu będzie uczyć się w mieszkaniu burmistrza, w osobnym pokoju,

Nie potrzebuję dodawać, że młodzieniec nie posiadał się z radości i serdecznie burmistrzowi dziękował.

— No, no, nie dziękuj — to obowiązek... Od dzisiejszego dnia — rzekł burmistrz, podając Janklowi rękę — będziesz moim przyjacielem i możesz liczyć na moją pomoc.

XIII.

Dzień ten był dla Jankla początkiem nowej ery.

Całe dnie spędzał wprawdzie po dawnemu: rano uczył się z Chaimem, przed obiadem słuchał wykładu rabina — lecz wieczorami przebywał u burmistrza i pozostawał tam do późnej nocy.

W nauce robił olbrzymie postępy. Dawane mu książki pochłaniał kompletnie. Pamięć miał fenomenalną, ten łakomiec wiedzy; co raz czytał, prawie na pamięć umiał. Guwerner burmistrza nie mógł się temu dosyć nadziwić, a gdy po kilku tygodniach zapytał go burmistrz, czy daje lekcye Janklowi, odpowiedział z uśmiechem:

— Sądzę, że niezadługo on będzie mógł mnie lekcyj udzielać.

W bet-hamidraszu — rzecz oczywista — Jankiel towarzystwa znaleźć nie mógł. Z Chaimem uczył się wprawdzie, lecz za towarzysza go nie miał, choć Chaim przyjaciela udawał.

U rabina jadał jeszcze we czwartki, lecz bliższych stosunków z jego domem nie miał. Z samym rabinem nie rozmawiał o niczem, chyba o nauce talmudycznej. Tylko dla poczciwego buchera Głowaczewskiego czuł pewną przyjaźń.

Głowaczewski, młodzieniec siedmnastoletni, nie miał wprawdzie wielkich zdolności, ale był dobrym chłopcem, nie miał we zwyczaju kłamać, jak inni żacy, ani pochlebiać chodzerowskim obywatelom; szedł on swoją drogą, uczył się pilnie, a gdy nie rozumiał czego z talmudu, prosił Jankla o objaśnienie. Tym sposobem pomiędzy młodymi powoli zawiązała się przyjaźń.

Głowaczewski prawie żyć nie mógł bez Jankla. Nic też dziwnego, że Jankiel wtajemniczył go w swoje sprawy, odsłonił przed nim swoje myśli i dążenia, jakie żywił w młodzieńczej piersi. Wprawdzie Głowaczewski nie rozumiał celu tych dążeń — bo jakże! jeżeli się jest „iłuj," jeżeli można mieć widoki na posadę rabina w wielkiem mieście, to po cóż jeszcze obce nauki? Czyż talmud niedość zawiera nauki?

Tak rozumował Głowaczewski, jednak nie protestował.

— Jankiel wie zapewne, co czyni — pomyślał — co dla mnie naprzykład jest zbytecznem, dla niego może być potrzebnem.

Głowaczewski tak mocno wierzył w doskonałość Jankla, że nie odważyłby się przypuścić, aby Jankiel mógł zrobić jakąś niedorzeczność.

U rabi Godela pokazywał się Jankiel bardzo rzadko, a gdy go czasem odwiedził przy wieczerzy sobotniej, przyjęty był bardzo dobrze, sam rabi częstował go rybą i winem. Od czasu historyi ze strachem, rabi Godeł nazywał Jankla filutem.

— Jesteś, filucie? Naści wina, filucie — mawiał zazwyczaj.

Nikt nie wiedział, coby ten przydomek mógł znaczyć, ale skoro rabi nazywa Jankla filutem, zapewne nim jest — mówiono — i stąd urosła w miasteczku nazwa „Jankiel filut.”

XIV.

Minęła zima, minęła i Wielkanoc, a o zaręczynach Chaima nie było słychać. Eloakim martwił się okropnie, całą bowiem nadzieję pokładał w dojściu do skutku tego małżeństwa. Kalkulował bowiem, nie bez racyi, że gdy Chaim weźmie posag, a przytem zostanie cadykiem na miejsce ojca, który przecież wiecznie żyć nie może — wtedy on Eloakim, wypłynie na wierzch i rządzić będzie w gminie, według własnego upodobania; wszystkie datki sobie przywłaszczy, gdyż ten głupiec Chaim nie będzie nawet wiedział, co się u niego dzieje. Będzie pieścił swoją piękną żonę, nie dbając o resztę. Oprócz tego Chaim obiecał mu trzysta rubli za swatanie, a trzysta rubli — to pieniądz! Tymczasem krzątał się w tej sprawie już półtora roku, a tu nic i nic, — ani widać zaręczyn, ani słychać o nich...

— Co to być może? — medytował Eloakim. — Nic innego, tylko ten żaczek, ten Jankiel podobał się Miriam i Chunie, a bardzo być może, że i ta kokietka Małka koniecznie dostać go pragnie...

Jednę tylko miał nadzieję przebiegły swat. W Wielkanoc, w wolne święta, przysłał po niego rabin i odezwał się do niego w te słowa:

— Eloakimie — jestem już starym człowiekiem i mam tylko jednę córkę. Dla siebie zatem nic nie potrzebuję. Jedynem życzeniem mojem, jedyną moją prośbą do Boga jest, abym tej córce mógł dać uczonego i bogobojnego męża, jak Bóg przykazał. Gdy to osiągnę, umrę spokojnie, wiedząc, że spełniłem swój święty obowiązek. Pan Bóg widocznie wysłuchał mojej modlitwy, gdyż znajduje się obecnie w mej szkole żak, imieniem Jankiel, prawdziwie uczony talmudysta, a jeżeli się nie mylę, ma on także inne przymioty. Tego to buchera chciałbym dla mojej Basi za męża. Posagu wprawdzie dać im nie mogę, lecz utrzymywać ich będę przez całe moje życie, a po śmierci mojej zostanie on zapewne moim następcą. Sądzę, że miasto prędzej przyjmie mego zięcia jako rabina, niż obcego. Przytem, Jankiel będzie gaonem — i nie będzie miał kłopotu o posadę. Ja myślę, że po mojej śmierci obywatele miasta jeszcze go prosić będą, aby został u nich rabinem. Otóż chciałem cię prosić, Eloakimie, abyś pomówił z Janklem i wytłómaczył mu, że to dla niego doskonała partya — że dla uczonego główną rzeczą jest utrzymanie, a utrzymanie będzie miał u mnie, jak u magnata. Zrozumiałeś mnie, Eloakimie? Wdajże się w tę sprawę. Wynagrodzę cię hojniej niż bogacz i serdecznie podziękuję. Staraj się, mój Eloakimie...

— Otóż tę jedyną mam nadzieję — rozumował Eloakim. — Jeżeli bucher zgodzi się na tę partyę, postaram się, aby rabin prędko wyprawił zaręczyny, a wtedy u Chuny przestaną go pieścić. Ta kokietka, gdy zobaczy, że bucher o ładnej twarzyczce zaręczony został z córką rabina, zgodzi się wtedy poślubić Chaima, myślę nawet, że Bogu podziękuje, gdy go dostanie.

Powodowany tą myślą, szedł Eloakim pewnego piątku wieczorem do kulawego Natana, aby tam pomówić o tym interesie z Janklem.

— Witajcie, Eloakimie — zawołała Chana-Bajla do wchodzącego. — Oho! rzadki z was gość... Siadajcie.

— Gdzie filut? — zapytał Eloakim.

— Cóż macie za interes do mojego Jankla, reb Eloakimie? Możecie i mnie powiedzieć; wiecie, że go kocham jak własne dziecko. Boże miłosierny! abym się choć z niego doczekała pociechy.

— Benemunes — odezwał się kulawy Natan — uważamy go za własne dziecko; możecie nam powiedzieć, o co chodzi — benemunes.

— No to powiem, czemuż nie. Zarobicie i wy kilka rubli... Mam doskonałą partyę dla tego buchera — ale to doskonałą, powiadam wam.

— Boże miłosierny! — oburzyła się Chana-Bajla — ja miałabym faktorować dla pieniędzy, gdy idzie o małżeństwo Jankla. Nigdy! Jeżeli mu trafi się dobra partya, jakiej ja sobie życzę, to wyprawię jeszcze ucztę — jeżeli zaś nie, to w żaden sposób pomagać nie będę, nawet gdybym miała przytem tysiąc rubli zarobić. Zrozumieliście, Eloakimie — uważam Jankla za własne dziecko!

— Benemunes — wtrącił Natan — zupełnie za własne dziecko!

— Jeżeli wam mówię — odrzekł Eloakim — że dobra partya, to dobra. Co tu długo rozpowiadać — rabin chce mu dać córkę, słyszycie? rabin!

— Córka rabina — odezwała się Chana-Bajla — to dobra partya. Wprawdzie Baśka jest nieporządną i niełądną — jednakowoż to córka rabina...

— Ho, ho! — zaśmiał się Eloakim — ciekawy jestem, co bucherowi po pięknej żonie? Czy bez tego nie może się obyć?

— A dlaczegożby — wtrącił kulawy — dlaczegożby Jankiel nie miał dostać pięknej żony? Jest „iłuj,” przytem ładny chłopak, benemunes. A zdaje mi się nawet, że sam Pan Bóg przykazał mieć ładną żonę.

— Czego ty swój nos wtrącasz! — obruszyła się Chana-Bajla, urażona słowami męża — nie zważajcie na to, co on plecie, Eloakimie; jak ja powiem, tak będzie. Partya ta podoba mi się — to dosyć.

W głębi duszy Chana-Bajla życzyła sobie dla Jankla lepszej i ładniejszej żony, jednakże czuła nieprzepartą chęć zostać powinowatą rabina. Już sobie wyobrażała, jak razem z rabinową prowadzić będzie pannę młodą do ślubu — i jak po uczcie weselnej publicznie głosić będą, że Chana-Bajla, opiekunka pana młodego, daje jako prezent ślubny — lichtarz sobotni. Ten spodziewany zaszczyt połechtał jej dumę własną i dlatego chętnie przechyliła się na stronę Eloakima.

W tej chwili Jankiel wszedł do pokoju.

— Git szabes, filucie — powitał go Eloakim — czekam już z godzinę na ciebie. Siadaj; mam z tobą do pomówienia o ważnej sprawie.

Jankiel usiadł.

— Wprawdzie, powiedziałem ci niegdyś, że nie chcę być twoim swatem... I w samej rzeczy, czyż to ja jestem swatem dla bucherów?.. Zmieniłem jednak zdanie co do twojej osoby, gdyż jesteś „iłuj” i bywasz u rabiego. Uważaj, filucie — jesteś biednym chłopcem i sierotą... Zrozumiesz zatem, że nie możesz rościć pretensyi do bogatej partyi, a że jesteś „iłuj,” to niema teraz tak wielkiej wartości. I jakiż twój cel? Zostać rabinem! Aby ten cel osiągnąć, potrzebujesz tylko mieć możność wydoskonalenia się w naukach talmudycznych; do tego zaś potrzeba, abyś był wolnym od kłopotów i trosk codziennego życia, to zna-

czy, że powinieneś ożenić się i żyć na koszt teścia, dopóki nie otrzymasz posady rabina. Otóż taką to partyę chcę ci wyswatać! Posagu nie dostaniesz, lecz za to teść utrzymywać cię będzie, dopóki nie umrze. Krótko mówiąc, rabin chce ci dać swoją córkę za żonę — słyszysz? rabin! I cóż ty na to, filucie? Podziękujże czemprędzej i pozwól mi działać dalej.

— Nie chcę się jeszcze żenić — krótko odparł Jankiel.

— Jakto, nie chcesz się żenić? Dlaczego nie chcesz? Czy chcesz zostać mnichem?

— Cóż to was obchodzi, dlaczego ja nie chcę i co robić zamyślam... Nie chcę i kwita.

— Żegnam — odrzekł Eloakim urażony.

Wstał i zwrócił się ku drzwiom.

— Ny, ny — mitygowała Chana-Bajla — nie koniec jeszcze na tem... Jeszcze pogadamy z nim i on to sobie rozważy, namyśli się inaczej, zobaczycie Eloakimie.

— Nie warto zachodu — rzucił Eloakim gniewnie i szybko wyszedł z pokoju.

Po drodze rozmyślał:

— Musi w tem coś być, skoro Jankiel tej partyi nie chce. Zapewne już upodobał sobie Małkę... A kto wie, może i postanowili coś między sobą bez wiedzy Chuny i Miriam; po takich rozpustnikach wszystkiego spodziewać się można.

Myślał i myślał, a im więcej myślał, tem więcej nabierał przekonania, że Jankiel jest jedyną przeszkodą do połączenia Chaima z Małką.

— Nie bez przyczyny stał się tak hardym — mruczał dalej Eloakim — dawniej byłby nie odważył się głośnego

wyrzec słowa, a dziś—z jaką to impertynencyą rzekł: „co to was obchodzi — nie chcę i kwita!” Nie, to nie bez kozery... Zapewne porozumiał się z tą kokietką. — Kto wie, jak tam daleko zaszło pomiędzy nimi — i jest pewien, że weźmie z nią ślub. Szprynca plotła coś przed tygodniem, że ci rozpustnicy przez całe godziny razem przesiadują. Muszę się o tem dokładnie wywiedzieć. Poszlę po Szpryncę i wybadam ją. Trzeba jej obiecać na suknię, byle tylko wydała ich z sekretu, — ona zapewne wiele wie.

Tak zatopiony w myślach wrócił do domu. Położył się spać, lecz myśli ciągle go prześladowały i nie dały mu zasnąć. Wreszcie postanowił, że przedewszystkiem trzeba rzecz dokładnie zbadać, trzeba nazajutrz zrana posłać po Szpryncę.

Szprynca była kucharką u Dancygierów, a teraźniejsza trzecia żona Eloakima była jej ciotką. Niekiedy przychodziła Szprynca w sobotę do ciotki i opowiadała o swojej pani: co się tam gotuje, co robi, o czem tam mówią i t. d., — jak to jest zwyczajem wszystkich gadatliwych sług.

XV.

Nazajutrz Eloakim wyprawił żonę do bóżnicy, a młodą dziewczynkę posłał po Szpryncę.

— Powiedz, aby natychmiast przyszła, bo mama pilnie jej potrzebuje, słyszysz — powtórzył Eloakim — powiedz, że *mama* pilnie jej potrzebuje.

Gdy Szprynca przyszła, Eloakim zawołał ją do swego pokoju i zamknął drzwi na klucz.

— Wuju! — krzyknęła Szprynca przestraszona — znów chcesz mnie zaczepiać... Narobię takiego gwałtu, że całe miasto się zbiegnie.

— Głupiaś, Szprynco — nie myślę cię zaczepiać — przeciwnie, dam ci na suknię, bylebyś mi dokładnie opowiedziała, jaki jest stosunek pomiędzy Janklem a Małką... Wiem, że jest coś między nimi.

— Nie chcę twojej sukni — odrzekła Szprynca — przysięgnij mi tylko, że nigdy mnie nie zaczepisz, a opowiem wszystko.

— Przysięgam, benemunes! nie zaczepię cię nigdy — tylko opowiadaj.

Chcąc go się pozbyć i wydostać z pokoju, opowiedziała mu Szprynca naprędce, jak często wyjrzawszy z kuchni, widziała Małkę rozmawiającą poufale z Janklem — jak czytali razem polskie książki — słyszała nawet, jak Małka mówiła do niego, że wszystko dla niego poświęci — nawet krew własną.

— A czy ją obejmował — zapytał Eloakim — jak ja ciebie, w tej chwili, co? I całował ją, ot tak, naprzykład, co?

— Puść mnie, wuju! — krzyknęła Szprynca — bo zrobię gwałt!

— No, gadaj, całuje ją — ot tak?

— Tak, tak — puść mnie tylko.

— I mówili, że się pobiorą?

— Tak, tak — wołała. — Puść mnie! puść, bo krzyknę!

— Idźże już, idź, niedobra dziewczyno! Kto to widział — wuja tak nielubić... I doprawdy, całują się ci rozpustnicy?..

Eloakim otworzył drzwi i wypuścił Szpryncę.

Gdy już była w sieni, krzyknęła:

— Ty — stary ......! — ich nazywasz rozpustnikami, a sam nie jesteś wart nawet ich małego palca.

— Umykaj.... rozpustnico! — krzyknął Eloakim i zamknął drzwi.

— To tak się rzeczy mają! — mówił do siebie po odejściu dziewczyny. — Czytają razem trefe pusel (polskie książki), całują się i ułożyli pobrać się... O niedoczekanie wasze, łajdaki! Oho! patrzcie tego obdartusa, jakiego mi figla spłatał! Już półtora roku działam w tej sprawie i pokładam w niej całą nadzieję, chcąc się czegoś dorobić — a jeden taki włóczęga psuje mi odrazu szyki! Ale nie szkodzi, dam ja sobie radę... Opowiem wszystko Chaimowi — a on potrafi uczynić nieszkodliwym tego włóczęgę, — on żartować nie będzie. O! znam ja Chaima! zakochany jak kot w tej kokietce Małce i koniecznie chce ją pojąć za żonę... Trzeba mu tylko powiedzieć, że Jankiel się z nią całuje — że umówili się pobrać — a już on wtedy będzie wiedział, co czynić. Gwałtowny to chłopak i głupi w dodatku... ny, ny, będzie dobrze.

XVI.

W kilka dni potem było „lagbojmer" (święto obchodzone szczególnie przez uczącą się młodzież). Żacy szykowali się na majówkę.

Dzień był prześliczny. Wiosna roztoczyła cały swój blask uroczy. Słońce hojnie rzucało złote promienie, ogrzewając powietrze łagodnem ciepłem, łąki pokryły się zielonym kobiercem, złotemi kwiatkami dzierżganym, — drzewa porozkwitały, siejąc dokoła przyjemną woń, a ptactwo leśne wystąpiło z całym skarbcem wesołych piosnek. Na bożym świecie było jasno, wesoło i uroczo.

Tegoż dnia, doktór Grabowski wezwany został na wieś do chorego obywatela. Żyjąc w przyjaźni z burmistrzem, wstąpił doktór do niego i zaproponował mu spacer za miasto, na co burmistrz tem chętniej dał się namówić, że chory obywatel był wspólnym ich przyjacielem.

Kareta z szykiem potoczyła się przez rynek. Wewnątrz siedział doktór z burmistrzem, a na przodzie stała skrzyneczka z instrumentami i lekarstwami, które zwykle doktór zabierał z sobą, gdy jeździł na wieś do pacyenta. Na koźle, obok stangreta, siedział policyant. Konie szły galopem, a w kilka minut podróżni nasi byli już za miastem.

Trzy wiorsty za miastem leżała piękna wioska, Michałówka, dokąd żacy zwykle udawali się na hulanki.

Od ostatków każdy z nich zbierał grosze, aby módz, gdy nadejdzie „lagbojmer," — udać się na wieś i ucztę sobie wyprawić.

Chaim Godela usilnie prosił Jankla, aby dziś razem z innymi zrobił wycieczkę za miasto. Zmęczony ciągłą nauką — i czując potrzebę odetchnienia świeżem powietrzem — dał się Jankiel namówić.

W Michałówce mieszkał pachciarz, który miał smaczne sery, masło i t. p. produkty wiejskie, w karczmie zaś była dobra wódka i piwo. Do Michałówki tedy zwrócili kroki swoje Jankiel, Chaim i Głowaczewski.

Po drodze rozmawiali o nauce i o innych rzeczach. Chaim bredził potrosze, mówił jak pijany, ni w pięć, ni w dziewięć — wzrok miał niby obłąkany, lecz nie zauważyli tego obaj towarzysze. Przyszedłszy na miejsce, usiedli przed karczmą stojącą przy drodze. Chaim kazał dać wódki, sera, jaj, później piwa. Siedzieli przy stole w ten sposób, że Chaim znalazł się po jednej stronie stołu, a Jankiel i Głowaczewski po drugiej; przed każdym stał kufel bawara. Nagle Chaim, wskazując ręką w przeciwległą stronę, zawołał:

— Spojrzcie-no, pali się, ot tam!

Jankiel z towarzyszem odwrócili się i patrzyli przez chwilę, a nie widząc nic, zdziwieni, zapytali Chaima:

— Gdzie się pali? Nic nie widzimy.

Chaim wybełkotał parę słów niezrozumiałych, a wyglądał przytem jak obłąkany. Twarz miał całą w ogniach, a oczy jego patrzyły dziko na wszystkie strony.

— Cha, cha, cha!.. — zaśmiał się nienaturalnie — a tom was zręcznie oszukał.

Jankiel i Głowaczwski byli pewni, że Chaim upił się i nie zważając na jego słowa, pili dalej piwo.

Wtem zaszedł przypadek najmniej spodziewany: Jankiel zbladł, zachwiał się i spadł z ławki, krzyknąwszy złamanym głosem:

— Ratujcie! niedobrze mi!..

Nie zemdlał, — oczy miał otwarte, lecz jęczał okropnie i wił się z bólu.

Głowaczewski, nie wiedząc, co począć zo strachu, zaalarmował wszystkich; wybiegli z karczmy i od pachciarza, obryzgali Jankla wodą i octem, lecz napróżno; wił się nieborak po ziemi, jak wąż.

Wtem nadjechała kareta.

— Gwałtu! ratuj! — krzyknął Głowaczewski, przyskakując do karety.

— Co to? — zapytał burmistrz.

Głowaczewski nie mógł więcej wymówić nad jedno słowo:

— Jankiel!

Gdy burmistrz usłyszał to imię, wyskoczył prędko z karety i zawołał doktora. Doktór spojrzał na Jankla, pobiegł szybko po skrzynkę, wydobył z niej proszek i wszystek dał zażyć choremu. Proszek poskutkował natychmiast. Jankiel oddał spożyte potrawy, a to co zwrócił, miało pozór zwarzonego mleka. Doktór spojrzał.

— Otruty — rzekł do burmistrza.

Chaim, usłyszawszy to słowo, zbladł jak ściana i zawołał po żydowsku:

— Ja nie winien, nie wiem o niczem...

Doktór i burmistrz zrozumieli te słowa i spojrzeli po sobie.

— Gdzie jest kufel, z którego pił Jankiel? — zapytał doktór Głowaczewskiego po niemiecku.

Głowaczewski pokazał kufel Jankla.

Doktór spojrzał uważnie na biały osad na dnie i rzekł do burmistrza:

— Tak jest, otruty arszenikiem. Szczęście, że piwo nie zostało wymięszane, a większa część arszeniku osiadła na dnie. Być może, że będziemy w stanie uratować chorego.

Burmistrz zawołał policyanta i kazał Chaima obszukać. Znaleziono przy nim dwa proszki arszeniku.

Doktór dał zażyć Janklowi jeszcze kilka pigułek ze skrzyneczki — później posadzono go do karety,— a Chaima policyant posadził obok siebie na koźle.

Powóz zajechał przed dom Dancygiera, gdzie pomieszczono Jankla, — Chaima zaś odprowadzono z pompą do kozy.

* *

*

Wieść o otruciu Jankla, przez Chaima, syna Godela, z szybkością błyskawicy rozeszła się po całem miasteczku.

W ciągu pierwszych trzech dni wątpiono o ocaleniu Jankla. Doktór Grabowski nie odstępował go wprawdzie ani na chwilę i wszelkich używał środków dla uratowania go, nie był jednak pewnym rezultatu — a gdy Miriam zapytała go, czy chory wyzdrowieje, potrząsnął głową i odpowiedział:

— Jeżeli chory jeszcze dwa dni przetrzyma, będzie naszym, lecz daj Boże, aby przetrzymał.

Małka, usłyszawszy w drugim pokoju słowa doktora, zalała się łzami. Biedna dziewczyna w przeciągu tych kilku-dni zmieniła się do niepoznania — twarzyczka jej zbladła, piękne oczy zapadły głęboko i poczerwieniały od łez. I nie dziw! przez całe trzy dni nie zmrużyła oka i prawie nic nie jadła. Po całych dniach i przez część nocy siadywała przy łóżku chorego, sama przyrządzała zalecone przez doktora środki domowe, sama biegała do apteki po lekarstwa i t. d.

Okropne zajście z Janklem stało się przedmiotem rozmowy w całem miasteczku. Wszędzie, w bet-hamidraszu,

w mykwie, w szynkach, w kramikach, nawet straganiarki na rynku, o tem tylko pomiędzy sobą rozmawiały. Zastanawiały się nad tem, czy Jankiel żyć będzie, czy nie, — czy Chaim pójdzie na Sybir — i czy na całe życie, czy tylko na pewien czas, a najwięcej łamano sobie głowy nad przyczyną zbrodni: co właściwie spowodowało Chaima do otrucia Jankla, który był przecież spokojnym młodzieńcem i nikomu w drogę nie wchodził; zresztą Chaim zwał się przecież przyjacielem Jankla — mówiono — skądżeby odrazu miał go otruć?

Zadecydowano, że Chaim musiał chyba zwaryować.

— Lecz to nie może być powodem — mówił Tratel-filozof.— Waryat gotów jest, naprzykład, porwać leżący przed nim nóż i uderzyć kogoś — lecz pójść na trzy dni przedtem do apteki, kupić truciznę, potem namówić upatrzoną ofiarę na przechadzkę, a tam zamanić ją dla odwrócenia uwagi i wsypać truciznę w piwo — nie, tego waryat nie potrafi, z takim rozmysłem waryat nie działa.

Prawdziwego powodu nikt się nie domyślił; wiedział o nim tylko jeden Eloakim, lecz gdy go pytano o to, odpowiadał półgłosem:

— Rzecz to bardzo prosta, chociaż smutna. Dzisiaj dopiero dowiedziałem się napewne, że ten Jankiel, ten filut jest wielkim hultajem, czyta trefe pusel, skłonny jest do rozpusty i t. d. Czego zatem można się spodziewać od pobożnego młodzieńca, gdy zaczyna zbaczać z drogi prawej?.. Pójdzie on potem do szkół chrześciańskich, zostanie epikurejczykiem i w końcu ochrzci się! Pytam się was, czy nie lepiej dla wszystkich, a nawet dla niego samego, aby umarł wprzód, zanim dojdzie do takiego poniżenia?.. co? Otóż, Chaim, będąc przyjacielem Jankla, zauważył już oddawna, że ten na złą wstąpił drogę, a chcąc duszę jego uchronić od zatracenia — otruł go; gdyby nie był jego przyjacielem, z pewnością tegoby nie uczynił. Przekonacie się, że tego

filuta — jeżeliby został przy życiu — smutny koniec czeka... On źle skończy! ja wam to powiadam, a gdy się spełnią moje słowa, powiecie, że Eloakim to przepowiedział.

— Jakże to być może — odrzekł Chaim rzezak — żeby ten filut był rozpustnikiem, skoro zawsze tak dobrze był przyjmowany przez rabi Godela!

— To mi pytanie — ofuknął go Eloakim — bo rabi chciał go tym sposobem sprowadzić na drogę cnoty.

Jakoś nie bardzo ufano słowom Eloakima, a pytanie, dlaczego Chaim otruł Jankla — pozostało bez odpowiedzi.

XVII.

Czwartego dnia po wypadku Jankiel dostał strasznej gorączki. Doktór oświadczył, że to przesilenie choroby — i jeżeli dzień przejdzie bez katastrofy, to chory zostanie przy życiu. Zalecił staranną pielęgnacyę, nieustanne okładanie głowy lodem i t. p. środki.

Kulawy Natan i Głowaczewski nie odstępowali od łóżka, a Małka siedziała w tym samym pokoju, zdala, niespuszczając oka z chorego.

— Czego odemnie chcecie? — majaczył Jankiel — nie chcę być zegarmistrzem; budowniczym jestem, nieprawdaż Izraelu? Widzicie, Eloakimie, jestem w Paryżu; patrzcie, oto nowa kolej, którą zbudowałem. I ty tu, Chaimie — nie chcę już piwa... A jak się miewa twoja żona? Nie da-

waj jej piwa! Nie pij, Małko, na Boga! nie pij! Tak cię kocham! Chcę, abyś żyła... Pójdź do mnie!

I mówiąc to, wyciągnął ramiona.

Małka z głośnym płaczem przyskoczyła do łóżka i rzuciła się na piersi chorego. Jankiel przez chwilę trzymał ją w objęciach.

— Czego tak na mnie patrzysz, Chaimie? — mówił dalej w gorączce, poczem ręce mu opadły na posłanie i pozostał nieruchomy, jak przedtem.

Małka wciąż jeszcze głowę miała opartą na jego piersi. Natan i Głowaczewski tak byli zmieszani, że nie wiedzieli co począć; jednak Natan pierwszy oprzytomniał, podniósł Małkę i zawołał:

— Na Boga! co czynisz? Doktór zabronił ruszać chorego i największy zalecił spokój — wszak on nieprzytomny — on tylko majaczy w gorączce...

Małka wstała i powiodła wkoło oczyma, jak gdyby z miłego snu zbudzona. W sercu jej najsmutniejsze i najrozkoszniejsze zlewały się uczucia. Wszak ukochany jej Jankiel wyciągnął do niej ramiona i wyznał, że ją kocha... Ale mówił i czynił to bezwiednie, — mówił to, być może na godzinę przed śmiercią. Na tę myśl serce jej się ścisnęło i strumień łez popłynął z oczu biednej dziewczyny.

Chory zasnął głęboko — i reszta nocy zbiegła spokojnie.

Nazajutrz nowa rozeszła się wieść po miasteczku. Nad ranem znaleziono stróża więziennego pijanego w rynsztoku, żelazną kratę u okna wyłamaną — a Chaima nie było...

Burmistrz rozesłał konną pogoń na wszystkie strony; szukano wszędzie, ale zbiega nie znaleziono. Chaim przepadł bez wieści.

Doktór Grabowski, który nowinę tę przyniósł do Dancygierów, spojrzał na Jankla i zawołał radośnie:

— Niech Chaim idzie do licha, skoro tylko nasz chory zostanie przy życiu. Teraz, chwała Bogu, mogę was zapewnić — mówił, zwracając się do Miriam i Małki — że chory wyzdrowieje.

Słowa te były kojącym balsamem dla zranionego serca Małki. Oczy jej odzyskały dawny blask, a blada twarzyczka rozjaśniła się jak słońce po burzy.

Doktór się nie omylił — niebezpieczeństwo rzeczywiście minęło. Trzeba było już tylko starannej opieki nad chorym, aby szybko odzyskał siły. Rozumie się, że opieki tej nie brakło; to też zdrowie Jankla poprawiało się z każdą chwilą. Powoli przypominał sobie, co się z nim stało — i wszystkie szczegóły wypadku powtarzał.

Natan i Głowaczewski, którzy kilka nocy już czuwali przy chorym, zmęczeni, usnęli nad wieczorem, a Małka sama podawała Janklowi lekarstwo.

— Dlaczego tak jesteś zmienioną, Małko? — zapytał Jankiel — widać, martwiłaś się bardzo, biedna moja Małko.

Uśmiechnęła się, a piękne jej oczy z taką miłością patrzyły na Jankla, że temu aż łzy wzruszenia zawisnęły na rzęsach.

— Janklu — rzekła — czy wiesz, że było z tobą bardzo źle... Doktór stracił był już nadzieję wyleczenia cię... Tyle wczoraj majaczyłeś w gorączce...

— A co mówiłem, Małko? — zapytał z uśmiechem.

— Mówiłeś — rzekła po chwili Małka, rumieniąc się — mówiłeś, że mnie kochasz...

— Małko! — wykrzyknął Jankiel, wyciągając do niej ręce — jeżeli tak, to mówiłem najczystszą prawdę! Bóg świadkiem, że cię kocham nad życie.

Przypadła do niego — i pierwszy, gorący pocałunek złączył kochanków.

XVIII.

W kilka dni później doktór pozwolił już Janklowi wstawać i przechadzać się po pokoju.

W miarę, jak mu sił przybywało, zaczął chłopiec znów rozmyślać nad tem, co ma dalej począć ze sobą. Po tem, co zaszło, nie mógł w Chodzerowie pozostać. A zresztą, cóżby on tutaj robił? Nauczył się już wszystkiego, czego można było nauczyć się w takiej mieścinie; potrzebne mu języki już posiadał, — cóż więcej pozostało mu tutaj do zrobienia?

— Czas zdążać do celu — postanowił w duchu — nie jestem już niemy, mogę pójść w szeroki świat. Czas wziąć się do pracy, do dzieła, do którego czuję się być powołanym. Jeżeli ocalono mi życie, trzeba je poświęcić dobru bliźnich. Czyż człowiek ma żyć jak bydlę — i jak nic ze sobą na świat nie przyniósł, tak też i nic po sobie nie ma zostawić? Czyż to życie?.. Nie! Umrzeć powinno tylko ciało, lecz duch, rozum człowieka, powinien żyć wiecznie, powinien żyć w czynach, w dziełach, które stworzył. Tak, iść mi potrzeba! iść w szeroki świat, — a im prędzej tem lepiej!

— Lecz Małka — błysnęła mu nagle myśl — ta biedna Małka... Czyż mam ją tak opuścić, zapomnieć o niej? Wszak dążeniem mojem jest nieść ludziom korzyść, uszczęśliwiać ich... A tę Małkę właśnie, która jest mi bliższą niż inni, to biedne dziewczę, tak drogie memu sercu, które oddało mi życie swoje, myśli swoje — to dziewczę miałżebym uczynić nieszczęśliwem? Takaż byłaby jej nagroda za wszystko, co dla mnie uczyniła?

— A zresztą — gdyby i tak... Czyż nie zdarza się — rozumował dalej w duchu — że ludziom amputują rękę lub nogę, aby tym sposobem ocalić im życie... A czemże będzie życie moje, jeżeli nie dopnę celu? Lecz, z drugiej strony, któż powiedział, że Małka będzie mi przeszkodą w spełnieniu moich zamiarów? Czyż nie ma ona tych samych życzeń, co i ja, — czyż i ona nie pragnie narówni zemną, abym stał się człowiekiem pożytecznym? A jeżeli ona nie będzie mi przeszkodą, to dlaczegoż miałbym jej odbierać nadzieję, że kiedyś podzieli ze mną szczęście, jak dotychczas dzieliła smutek?..

Nowa myśl przyszła mu do głowy, a myśl ta zdawała się być rozstrzygającą, gdyż na twarzy jego odbił się wyraz silnego postanowienia.

Wieczorem tegoż dnia byli znów razem Jankiel, kulawy Natan, Głowaczewski i Małka. Rozmawiali wesoło, dowcipkowali nawet.

— Cieszmy się jeszcze na ostatku, póki razem jesteśmy — mówił Jankiel — od dziś bowiem za tydzień opuszczam Chodzerów na długie lata.

Małka zbladła, łzy zabłysły w jej oczach, wreszcie wybuchnęła spazmatycznym płaczem.

Jankiel ujął jej rękę i rzekł, zwracając się do Natana i Głowaczewskiego:

— Słuchajcie, przyjaciele moi, wiedzcie, że ja i Małka kochamy się i chcemy należeć do siebie, lecz wiele jeszcze pozostaje mi do zrobienia, zanim będę mógł się ożenić. Muszę wyjechać na kilka lat — na jak długo — sam dokładnie określić nie mogę. Czy chcesz czekać na mnie, Małko?

— Tak — odpowiedziała wśród łez.

— Bądźcie więc świadkami — zwrócił się Jankiel do towarzyszy.

Odpiął kaftan i wydobył woreczek, który miał na piersiach, a z niego srebrną złotówkę.

— Tę oto złotówkę — mówił — pozostawił mi ojciec przed śmiercią, jako jedyny spadek. Nie ruszyłem jej nawet w chwilach największej potrzeby. (Ha raj at mekudeszesli bematbea zu kedas Mosze we Izrael). Bądź mi zaślubioną tą monetą podług przepisu Mojżesza u Izraela — uroczyście wymówił, zwracając się do Małki i oddając jej monetę. — Od dziś dnia jesteś moją żoną na wieki.

— Na zawsze! do grobu! — odrzekła ze łzami Małka, obejmując go za szyję i okrywając jego twarz pocałunkami.

Nagle w przyległym pokoju dały się słyszeć kroki. Małka wstała.

— Zaklinam was, przyjaciele moi — mówił Jankiel — niechaj wszystko, coście tu widzieli i słyszeli, pozostanie w najgłębszej tajemnicy, aż do tej chwili, dopóki kto inny nie będzie chciał zaślubić Małki.

Miriam weszła do pokoju. Jankiel oznajmił jej, że za dni ośm wyjeżdża. Nie zdziwiła się nawet, zrozumiała bowiem, iż po ostatnich wypadkach niepodobna było Jankowi dłużej pozostawać w Chodzerowie. Lecz dokąd pojedzie, tego nie powiedział; burmistrzowi tylko, który tego

samego dnia przyszedł go odwiedzić, zwierzył się z zamierzonej podróży, wymieniając cel takowej.

W ośm dni później Jankiel opuścił Chodzerów. Dniem wprzód pożegnał się ze znajomymi. Rabin, położywszy mu ręce na głowie, pobłogosławił go:

— Niech ci Bóg dopomoże, abyś jaśniał nauką na chwałę i chlubę całego Izraela.

Chuna i Miriam zaopatrzyli ulubieńca swego na drogę w pieniądze, odzież i bieliznę, burmistrz i doktór dali mu oprócz pieniędzy listy polecające; Chana-Bajla — błogosławieństwo macierzyńskie i wiele łez na drogę. Małka zaś oddała mu serce i spokój całego życia.

Natan i Głowaczewski odprowadzili Jankla do Michałówki. Tam bohater nasz zwiedził jeszcze miejsce, gdzie przed kilku tygodniami pił nieszczęsne piwo z arszenikiem — i zmówił modlitwę za ocalenie życia. Następnie wszedł do karczmy i do pachciarza, podziękował za staranie około siebie, — wypił za zdrowie kulawego Natana i Głowaczewskiego, wreszcie pożegnał się z nimi. Obaj przyjaciele płakali rzewnie, odprowadzając go jeszcze daleko oczyma.

XIX.

Minął rok.

W Chodzerowie zapomnieli już o strasznym wypadku otrucia, nawet o Janklu samym. Nie zapomniała o nim tylko jedna Małka. Zawsze smutna i zamyślona, często

miewała zapłakane oczy. Gdy matka pytała o przyczynę płaczu, odpowiadała wymijająco.

Pewnej niedzieli, kulawy Natan, radośnie skacząc na kulach, przybył do mieszkania Dancygierów i — jak zwykle — zastał Małkę we łzach.

— Nie płacz, dziecko moje — rzekł do niej — oto masz list od niego.

Małka wstała, schwyciła list i pobiegła do swego pokoju, zamykając drzwi za sobą. Rozerwawszy kopertę i ujrzawszy podpis Jankla, pokryła pismo pocałunkami i łzami, poczem czytała:

Paryż, dnia ... 18 ..

„Najukochańsza żono moja! Z radością donoszę ci, że pokonałem zwycięsko wszelkie przeszkody i trudności. Wczoraj właśnie zdałem świetnie egzamin dojrzałości i zostałem przyjęty w poczet studentów politechniki. Po cóż mam opisywać przejścia, jakich doznałem, gdy radość przepełnia serce moje? Szybkim krokiem zbliżam się teraz do celu!

„O! droga Małko! jakże wielkim i pięknym jest świat! Jakaż to musi być rozkosz niewysłowiona zostać współpracownikiem w dalszym jego rozwoju. Miałem wprawdzie pojęcie o tym cudnym świecie, pierwej jeszcze, nim go ujrzałem oczyma zbudzonej duszy, lecz było to pojęcie słabe, nieokreślone przeczucie. Dziś dopiero widzę świat w całej pełni! Dziś codziennie spotykam wielkich mistrzów, którzy pracują nad rozwojem świata, a wydają mi się niby bogowie w ludzkiej postaci. Co za rozkosz módz zbliżyć się do nich i żyć nadzieją, że sam stanę kiedyś w ich szeregu!

„Szczęście moje byłoby zupełne, gdyby nie smutna myśl, że ty, moja najdroższa, zdala odemnie swoją najpię-

kniejszą marnujesz młodość, a to z mego powodu. Bądź jednak dobrej myśli! Nastanie dzień radości — a wtedy znajdziemy nagrodę za wszystkie dni przecierpiane.

Twój aż do grobu

Jankiel."

Dobiegłszy do ostatniego słowa, zaczynała Małka od początku, odczytywała list raz po raz, nie mogąc się nim nasycić.

— O! nie zawiodło mnie przeczucie — mówiła do siebie. — On rzeczywiście jest wielkim — takim, jakim go sobie wyobrażałam. Widzę już, że urośnie on w olbrzyma, a ja będę w obec niego karłem. Lecz cóż to szkodzi, on będzie wielkim i w miłości swojej, silną poda mi rękę i uniesie w swych ramionach, jak orzeł unosi pod obłoki pisklę swoje. Jakżem szczęśliwa! Janklu! orle mój! leć! wyżej i wyżej! Czekać będę cierpliwie, dopóki nie zejdziesz do mnie.

Twarz jej rozjaśniła się, oczy zabłysły, a gdy Miriam wróciła ze sklepu, uszczęśliwiona Małka całowała ją i pieściła bez końca, jak w onym dniu, kiedy po raz pierwszy nauczyła Jankla abecadła.

XX.

Minęły jeszcze dwa lata.

Wszystko ma swój kres — nic więc dziwnego, że i losy Jankla nie mogły pozostać wieczną tajemnicą dla Chodzerowa. Pewnego dnia gruchnęła wieść w miasteczku, że Jankiel filut znajduje się we Francyi i tam uczęszcza do szkół. Wielu mówiło, że już się nawet przechrzcił.

Eloakim nie posiadał się z radości.

— A co? — mówił — czy nie przepowiadałem, że wejdzie on na złą drogę? Czy rozumiecie teraz, dlaczego Chaim chciał go otruć?

Tym razem potakiwano mu ze wszystkich stron.

Nawet Dancygierowie skłaniali się do uwierzenia, że Jankiel zwierzył się Chaimowi ze swoich zamiarów i myśli, — a ponieważ Chaim był popędliwy i niezbyt mądry, w fanatycznej przeto gorliwości swojej nie zawahał się nawet przed zbrodnią, byle Jankla wstrzymać od grzechu. Źle uczynił, to prawda, gdyż nie miał prawa sądu... Ale Chaim popełnił błąd w dobrej wierze, — a taki błąd można jeszcze wybaczyć, tembardziej, że dosyć czasu pokutował za niego na wygnaniu...

Taką była opinia w domu Dancygierów. Chuna i Miriam zaczęli powoli godzić się z myślą dotrzymania umowy rabi Godelowi i wydania córki za Chaima, gdyby ten mógł powrócić. Godzili się z tą myślą tem łatwiej, że i Małka — jak im się zdawało, — nie była jej przeciwną, bo ile razy wspomniano o małżeństwie, odpowiadała zwykle:

— Czekać będę na mego narzeczonego...

O jakimże narzeczonym mogłaby myśleć, jeżeli nie o Chaimie? Wszak o tej umowie wiedziała już, zanim Chaim wyjechał.

Tylko kulawy Natan i Głowaczewski — ci dwaj nie wierzyli, aby Jankiel złą poszedł drogą.

— Prawdą jest, że chodzi do szkół — mówili — bo ma chęć do nauki, lecz nie dowodzi to jeszcze, aby miał sprzeniewierzyć się swojej religii.

Zapomniałem wam powiedzieć, że Głowaczewski, który wykształcił się dostatecznie w nauce talmudycznej, został zięciem rabina. Na jego to ślubie właśnie mówiono wiele o Janklu, ale tak niekorzystnie, że chociaż pan młody usiłował obronić przyjaciela, nie mógł jednakże przekonać przeciwników, co go wielce zmartwiło.

Podczas gdy na weselu tyle mówiono o Janklu, Małka czytała w domu jego list:

Paryż, 2 kwietnia 18 . . r.

„Najukochańsza żono moja! „Naprzód!" jest hasłem naszego wieku. Wczoraj odbyłem ostatni egzamin i uzyskałem w nagrodę złoty medal. Rozprawa moja, która wielkie wywołała wrażenie, zjednała mi stopień magistra. Wpływowe koła uczonych postarały się o to, że kuratoryum politechniki postanowiło wysłać mnie na koszt instytutu do Londynu, abym mógł kształcić się dalej. Naprzód więc! jadę do Londynu, tego źródła wiedzy pozytywnej, siedliska wielkich naturalistów, do Parnasu tytanów nowoczesnych, jak Tyndal, Darwin i inni. Naprzód więc! przez La Manche — a lube twe oblicze będzie moim przewodnikiem. O! najdroższa! znam twe cierpienia, czuję twoją tęsknotę, widzę cię osamotnioną wśród ludzi nie mogących

zrozumieć pragnień twego serca. Jednakże w chwilach tęsknoty, niechaj cię ta myśl ukoi, że obraz twój zawsze mam przed oczyma i że on to właśnie dodaje mi otuchy w śmiałych przedsięwzięciach, ożywia i podnieca mój umysł. Najdroższa Małko! Już zbliża się czas, kiedy całą moją przyszłość u nóg twoich złożę, a zmęczona głowa moja z rozkoszą spocznie na piersi twojej. Trochę jeszcze cierpliwości, luba żono, a znajdziesz się w objęciach wiecznie kochającego cię męża

Jankla."

Większą była radość Małki z powodu tego listu, niż radość gości zebranych na weselu Głowaczewskiego, — wszak jej wymarzony, wielki Jankiel przyrzeka, że wkrótce będą razem. A cóż dorównać mogło takiemu szczęściu!

* *
*

Monotonne życie mieszkańców Chodzerowa przerwały dwa wypadki bardzo ważne w kronice miasteczka.

Mniej więcej w trzy miesiące po weselu Głowaczewskiego, zmarł poczciwy burmistrz, a na trzeci dzień po nim rozstał się z tym światem rabin chodzerowski. W skwarny dzień lipcowy dwa kondukty pogrzebowe spotkały się na rynku chodzerowskim, odprowadzające naczelników obu gmin na miejsce wiecznego spoczynku.

Na cmentarzu, przy zwłokach rabina, zięć jego, Głowaczewski, miał piękną, serdeczną mowę, którą do łez poruszył obecnych.

Gdy ciało miano spuścić do grobu, zawołał Berek, jeden z członków dozoru bóżniczego:

— Panowie! zanim oddamy ostatnią przysługę zmarłemu, pytam was, czy chcecie wykonać ostatnią jego wolę? Przed śmiercią bowiem wyraził rabin życzenie, aby na jego miejsce gmina powołała jego zięcia na rabina. Wiecie, że Głowaczewski godzien jest zająć to miejsce, jako uczony i bogobojny żyd. Powiedzcie, obywatele, jakie wasze zdanie?

— Zgadzamy się, aby reb Haskiel Głowaczewski, zięć rabina, zajął jego miejsce — zawołano jednogłośnie.

Pochowano zmarłego, a od tej chwili Głowaczewski został rabinem chodzerowskim.

XXI.

Minęło znów kilka miesięcy. Wypadki dopiero co opisane gasły już w pamięci chodzerowskich obywateli — gdy nagle sensacyjna wieść poruszyła wszystkich i przypomniała minione dzieje.

Chaim Godel zjawił się w Chodzerowie.

Burmistrz już nie żył, — doktór Grabowski wyprowadził się dawno z Chodzerowa... Z innymi Jochna Stadlen, faktor kahalny, porozumiał się względem umorzenia sprawy — i w ten sposób mógł Chaim swobodnie obracać się w miasteczku.

Zmienił się on przez te kilka lat bardzo. Zdawało się, że zęby dłuższe ma niż dawniej, nos czerwieńszy, a nadto przybyła mu bródka.

Nie wypadało to jakoś, aby rabi miał syna kawalera z brodą. Wziął się tedy Eloakim z całą energią do dzieła, aby skojarzyć projektowane dawniej stadło — Chaima z Małką.

Postępek Chaima z Janklem zupełnie był usprawiedliwiony, tem więcej, że i Chaim słowo w słowo opowiadał to samo, co Eloakim, mianowicie, że dawno wiedział, iż Jankiel jest hultajem, że długi czas upominał go i starał się zwrócić zbłąkanego na drogę cnoty — nareszcie się przekonał, że nic słowami nie wskóra i gdy zrozumiał, że Jankla opanował zły duch — zdecydował się na krok ostateczny.

— Żałuję — opowiadał dalej — mego postępku, gdyż byłoby lepiej, aby ten pies Jankiel w inne wpadł ręce; ale co się stało, to się stało. Pokutować dłużej nie mam potrzeby, gdyż zamiary moje były dobre... A zresztą ten pies został przy życiu!

Chuna i Miriam już namyślili się wydać Małkę za Chaima:

— Jest ona już starą panną, ma bowiem ze dwadzieścia lat, niema zatem nadziei wynalezienia dla niej lepszej partyi,—a syn rabiego Godela jednakowoż jest godnym młodzieńcem.

Z Małką nie uważano nawet za potrzebne mówić o tem. Rodzice byli najmocniej przekonani, że Małka przeciwko tej partyi nie ma nic do nadmienienia. I tak, pewnego wieczoru miały się odbyć zaręczyny.

Zaproszono na tę uroczystość rabina i mnóstwo znajomych, do których naturalnie liczył się także kulawy Natan z małżonką.

Rabin, spotkawszy się z pytającem spojrzeniem Natana, przywołał go do siebie i rzekł po cichu:

— Zaślubiny Małki przez Jankla przysięgliśmy zachować w tajemnicy, a zatem, dopóki odkrycia jej konieczność nie będzie wymagać, niewolno nam zdradzić się najmniejszym nawet znakiem.

Gdy nié brakowało już nikogo z zaproszonych gości, spisany został akt zaręczyn (tanoim), na którym podpisali się: rabi Godel, jako ojciec i opiekun narzeczonego — dalej, poręczyciele (orew kabłan), świadkowie i nareszcie — narzeczony Chaim.

Niedostawało tylko podpisu narzeczonej.

W sąsiednim pokoju kobiety trzymały już w pogotowiu talerze, aby według zwyczaju, po przeczytaniu aktu zaręczyn i ostatniego słowa „masol tow" (dobrego szczęścia) z hukiem potrzaskać te naczynia o ziemię... Tymczasem spotkali się wszyscy z niespodzianką: gdy bowiem przywołano narzeczonę do podpisu, ta stanowczo odmówiła.

Niepodobna słowami opisać wrażenia tej chwili. Goście spoglądali po sobie z ogromnem zdumieniem, Chaim poczerwieniał ze wstydu, a rabi Godel zmarszczył gniewnie gęste brwi swoje. Zmieszanie widoczne było na wszystkich twarzach.

Co do Dancygierów, rzecz naturalna, że położenie ich było do najwyższego stopnia rozpaczliwem. Niepodobna przecież żartować sobie w tak bezwzględny sposób z chodzerowskiego cadyka i jego otoczenia; zajście to całe wyglądało na niewczesny żart. Prócz tego dobrze wiedzieli Dancygierowie, że nie ujdzie im bezkarnie taki afront, wyrządzony uwielbianemu przez żydów z całej okolicy rabiemu Godelowi.

Chuna zmierzył też w jednej chwili całą grozę sytuacyi — i pomimo szczerej miłości dla jedynej córki swojej,

widział się zmuszonym użyć tym razem całej władzy i powagi ojcowskiej, aby skłonić Małkę do podpisania aktu zaręczyn.

— Córko moja — rzekł drżącym, lecz podniesionym głosem — wielki grzech popełniłaś, opierając się woli ojca i matki. Zawstydziłaś nas wobec tak świetnego i licznego towarzystwa. Oby ci Bóg grzechu tego nie policzył... „Czcij ojca twego i matkę twoją” — brzmi przykazanie Boskie — jest ono najpierwszym obowiązkiem dziecka. O! Małko, Małko! nigdy nie przypuszczałem nawet, abyś ty zdolną byłą zdeptać, poniewierać ten obowiązek święty! ty — która wiesz, iż ja i matka twoja żyliśmy tylko dla ciebie, dla ciebie pracowali i jedynie o twojem szczęściu marzyli!.. Miałażbyś o tem wszystkiem zapomnieć dla kaprysu dziecinnego? Nie! to być nie może. Ciebie zły duch chwilowo opętał. Opamiętaj się dziecko moje — i uczyń zadość woli rodziców, skierowanej jedynie ku dobru i szczęściu twojemu.

Spojrzał na córkę, oczekując odpowiedzi, lecz gdy Małka uporczywie milczała przez kilka minut, zasępiło się czoło jego, a twarz przybrała groźny wyraz.

— Nieposłuszna, krnąbrna dziewczyna — zawołał — która depce honor i cześć swoich rodziców, nie zasługuje na nazwę dziecka! Ostrzegam cię przeto wobec zebranych tu osób, jeśli nie spełnisz natychmiast mojego rozkazu i nie podpiszesz aktu zaręczyn, wyrzeknę się ciebie na wieki, wydrę cię z mego serca ojcowskiego i oddam na pastwę losu. Będziesz przeklętą przez ojca, matkę i całą gminę izraelską!..

W pokoju zaległa grobowa cisza. Z zapartym tchem oczekiwali wszyscy odpowiedzi Małki — lecz ona stała ze spuszczonemi oczyma, jak posąg nieruchoma i nie wyrzekła ani słowa.

Miriam, jako kobieta i matka, lepiej niż ojciec znała charakter i usposobienie swej córki. Pojmowała ona, że w piersi tej, napozór nieposłusznej córki, toczy się okropna walka między kochającem sercem dziewiczem i uczuciem obowiązku dziecka względem rodziców, — pojmowała, że ten opór córki nie jest bynajmniej kaprysem, lecz naturalnym wynikiem tej walki wewnętrznej. Spojrzała na bladą twarz Małki i miłość macierzyńska odezwała się w niej z całą swoją siłą.

— Drogie moje dziecko — zawołała błagalnym głosem — powiedz mi, co ci jest? Co to wszystko ma znaczyć?..

Mówiąc to, pochyliła głowę na pierś Małki i wybuchnęła spazmatycznym płaczem. Ten dowód macierzyńskiej czułości tak wzruszył Małkę, iż drżąca upadła na stojące obok niej krzesło i z piersi jej wyrwały się słowa:

— Janklu mój, Janklu! ile ja cierpieć muszę!..

Miara smutku zdawała się być dopełnioną.

Rabin, który przez cały ten czas zachował głębokie milczenie, podniósł się z miejsca swego i przemówił w te słowa:

— Panowie! milczałem dotychczas, gdyż wiązała mi usta złożona przezemnie przysięga. Lecz teraz, gdy Małka mimowolnie rzekła słowo, które uwalnia mnie od tej przysięgi, oświadczam wam, że związek Chaima z Małką jest niemożliwy, gdyż Małka jest już zaślubioną przez Jankla według przepisu naszej świętej religii.

Całe towarzystwo zostało jakby piorunem rażone.

— Przez Jankla! — wykrzyknął Eloakim. — Dobrze ci tak, głupcze — rzekł półgłosem, zwracając się do Chaima — trzeba było więcej arszeniku wsypać!..

XXII.

W jednym z pięknych dni 187.. roku, w kuryerskim pociągu kolei warszawsko-terespolskiej, w wagonie drugiej klasy znajdowało się dwóch młodych ludzi. Jeden z nich, przystojny brunet, liczył około dwudziestu sześciu wiosen, drugi zaś, blondyn, z dużemi niebieskiemi oczyma, był o kilka lat starszy. Obaj należeli widocznie do klasy inteligentnej, a wykwintna ich odzież zdradzała ludzi zamożnych.

Pociąg pędził z szybkością błyskawicy, a przed oczyma jadących migotały zieleniejące pola i pagórki, chowające się w głębi horyzontu. Podróżni nasi, będący jedynymi pasażerami w wagonie, siedzieli przez długi czas milcząco przy otwartych oknach wagonu, oddychając świeżem powietrzem i bawiąc oko zmianą krajobrazu; lecz gdy nareszcie znużył ich ten widok, brunet zwrócił się do swego towarzysza z jakąś uwagą, poczem rozmowa zawiązała się bardzo łatwo. Z początku mówiono o rzeczach zwyczajnych, o topograficznem położeniu okolicy, o widokach na dobry urodzaj i t. p. Lecz wkrótce rozmowa przeszła na tematy naukowe, a młodzi ludzie ożywili się do tego stopnia, że nie zauważyli nawet, iż pociąg minął już kilka stacyj.

Nagle rozległ się świst lokomotywy, pociąg stanął a konduktor, uchyliwszy drzwi wagonu, wymienił stacyę Chodzerów, zapowiadając pięć minut przystanku.

— Otóż cel mojej podróży — rzekł brunet.

— I mojej także — odrzekł blondyn. — Szkoda, że nasza przyjemna biesiada tak krótko trwała. Jestem Borys Saburow, prokurator sądu okręgowego.

— Chodzerowski Jakób, profesor uniwersytetu oxfordzkiego — odrzekł, przedstawiając się brunet.

Podali sobie ręce i opuścili wagon.

Na peronie stacyi, oddalonej o trzy wiorsty od Chodzerowa, stała młoda kobieta, niezwykłej piękności, a obok niej mężczyzna w podeszłym wieku, oparty na kulach.

Ujrzawszy młodego profesora, kobieta zadrżała i oparła się na ramieniu kulawego. Jankiel, gdyż on to był owym młodym profesorem, szybkim krokiem przybliżył się do niej.

Jakże spokojnem było wzajemne przywitanie małżonków! Nie przemówili nawet do siebie, lecz przez długą chwilę rozmawiały ich oczy, a rozmowa ta wyrażała cały raj miłości i szczęścia, na opis którego fantazya ludzka słów jeszcze nie wynalazła.

Opowiadanie moje skończone. Każdy domyśli się reszty. A jeżeli w ciągu opowiadania zamyślił się kto nad jakimś szczegółem — tem lepiej.

Aha! widzę jeszcze ciekawość w niektórych oczach. Trudno, trzeba i tych zaspokoić.

Otóż, nazajutrz, około godziny szóstej wieczorem, na rynku chodzerowskim roiły się tłumy ludu. Potem tłumy te podzieliły się na dwa obozy: jeden z muzyką na czele, towarzyszył Janklowi do ślubu z Małką, a drugi — odprowadzał Chaima do więzienia.

K O N I E C.